

Opłata pocztowa uliszczona ryczałtem

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 15 maja 1949 r.

Nr 20 (199)

Zofia Rzeplińska

Z N Ó W B E R L I N

W ostatnich dniach Departament Stanu USA ogłosił komunikat, reasumując przebieg rozmów, jakie odbyły się między Jessupem, przedstawicielem USA w ONZ, a Malikiem, delegatem ZSRR w Radzie Bezpieczeństwa. Przedmiotem tych rozmów, podjętych w połowie lutego przez Jessupa, była sprawa Berlina. Wobec oświadczenia przedstawiciela Związku Radzieckiego, że w wypadku osiągnięcia porozumienia w sprawie zwołania Rady Ministrów Spraw Zagranicznych, wzajemne ograniczenia komunikacji zostałyby natychmiast zniesione — Departament Stanu podał do wiadomości, że wyłoniła się obecnie możliwość zwołania Rady Ministrów.

Sekretarz Generalny ONZ, Trygve Lie, cieszy się — „Cały świat z zadowoleniem powita uwolnienie pomyślnym skutkiem nowego wysiłku wyprowadzenia sprawy Berlina z martwego punktu” — stwierdził w wydanym komunikacie. „Sądzę, że większość ludzi będzie zadowolona z tego również, że zostały wykorzystane w tym celu wszystkie drogi ONZ.”

Trygve Lie ma podstawy do zadowolenia. Perspektywy obecnej sytuacji są daleko jaśniejsze niż w listopadzie ubiegłego roku, kiedy Sekretarz Generalny ONZ wraz z przewodniczącym ówczesnej sesji Zgromadzenia Ogólnego, Evattem, zwrócili się z bezpośrednim apelem do Stalina, Trumana, Attlee i Queilla o podjęcie akcji celem rozwiązania zagadnienia berlińskiego. Apel podkreślał zgubny wpływ niepewnej atmosfery na pokojową odbudowę wszystkich krajów i na bieg prac Zgromadzenia Ogólnego. Powoływał się na jednomyślną uchwałę wielkich mocarstw z dnia 3 listopada ub. r., powziętą na forum ONZ w sprawie usunięcia istniejących różnic i ustanowienia trwałego pokoju. „Uważamy — głosiła odezwa Evatta i Lie — że pierwszym krokiem winno być rozwiązanie zagadnienia berlińskiego. Sprawa ta znajduje się nadal na porządku obrad Rady Bezpieczeństwa. Sądźmy, że przebieg dyskusji nad tym zagadnieniem na forum Rady dowodzi możliwości jego rozwiązania. Każdy dzień opóźnienia pogłębia zagrożenie pokoju i bezpieczeństwa wszystkich narodów.”

Z wielką dozą niechęci apel Trygve Lie i Evatta został przyjęty przez anglosaskie koła polityczne. Zagrożone nieoczekiwaną możliwością rozwiązania konfliktu przystąpiły do gorączkowej kontrofensywy. Ten niewczesny wysłannik z gałką oliwną zjawiał się zupełnie nie w porę. Nie należało bowiem dopuścić za żadną cenę do załagodzenia konfliktu, który stanowił pierwszorzędną atut w akcji rozbijania Niemiec, z drugiej zaś strony trudno było narażać się na zarzuty torpedowania pokojowych propozycji tak wysoko postawionych kół jak Sekretariat Generalny ONZ. Apel pokojowy stanowił wyraźny cios dla aliantów zachodnich. Ich irytacja była tym większa, że dr Evatt powszechnie uważany był za rzecznika polityki anglo-amerykańskiej. Wystąpienie jego uznano więc za posunięcie polityczne bez precedensu.

Utrzymywanie napięcia sytuacji międzynarodowej było warunkiem sine qua non dla powodzenia dalekosiężnych zamysłów sojuszników zachodnich, zasachowanie więc najważniejszego pionka w tej grze służyło wywołaniu niepokój i zdenerwowanie. Podjęcie rokowań stanowiłoby groźną rysę w planach Anglosasów. Wnet też rozpoczęła się gorączkowa krzątanina pomiędzy Waszyngtonem a Londynem w celu znalezienia wyjścia z sytuacji. Nastąpiło w Paryżu spotkanie pomiędzy Marshalliem, Mac Neilem i Schumannem dla uzgodnienia odpowiedzi mocarstw zachodnich na apel przewodniczącego ONZ i Sekretarza Generalnego w sprawie Berlina.

Komentarze do stanowiska Wielkiej Brytanii czy USA są zbędne. Przytoczone fakty mają bowiem jednoznaczną wymowę. Ciekawe natomiast wnioski nasuwa postawa Francji, znamienita, jak zwykle w podobnych sytuacjach. Dzienniki paryskie zresztą nie pozostawiały wątpliwości w tej sprawie, komentując rzecz, jak np. „Le Monde”, następująco: „Anglicy i Amerykanie podrażnieni są démarche Evatta i Trygve Lie. We wtorek Schumann otrzyma dyspozycje od Marshalla i Mac Neila”.

Francuski podsekretarz stanu dla spraw informacji, Mitterand, na konferencji prasowej oświadczył, że Francja zaaprobowała apel

Trygve Lie i Evatta. To oświadczenie, sprzeczne z późniejszymi postanowieniami Marshalla — Mac Neila — Schumanna, ujawnia po raz dziesiąty lub setny uzależnienie Francji od Anglosasów. Inne dzienniki bynajmniej nie okazywały, zbytniej uległości ani pokory. „Populaire” zwraca uwagę, że niechęć Anglosasów do projektu Evatta wynika z obawy, by inicjatywa ta nie „przyczyniła się do poparcia pokojowej ofensywy Związku Radzieckiego”. „France-Tireur” oświadcza: „Evatt postąpił jak Australijczyk reprezentujący kraj, dla którego przedłużanie się obecnego napięcia międzynarodowego oznacza szybkie dźwignięcie Japonii. Poza usiłowaniami Anglosasów utrzymania problemu Berlina na porządku dziennym Rady Bezpieczeństwa kryje się lęk przed „zbyt wczesnym” rozpoczęciem rozmów z Moskwą. Londyn i Waszyngton pragną zacząć do czasu zawarcia militarnego przymierza atlantyckiego i rozpoczęcia zbrojeni państw Europy zachodniej”.

Brak jednolitej linii, wahania i wątpliwości — oto główne cechy stanowiska Francji wobec sprawy Berlina. Ale casus Berlin to tylko jedno pole na szachownicy polityki amerykańskiej i rozpatrywać je należy jedynie w powiązaniu ze wszystkimi innymi. Stanowisko Francji pełne było sprzeczności, ale należy wziąć pod uwagę, że obok Berlina, w tym samym okresie, na teren rozgrywek niemieckich wpłynął groźny cień Zagłębia Ruhry. Ustawa Nr 75, na mocy której cała Rura dostawała się w ręce b. współpracowników Hitlera, aby wykonywali swe „prawa własności” pod batutą dyrygentów amerykańskich — przekreśliła ostatecznie jakiekolwiek nadzieje Francji na wyjście z sytuacji, już nie tyle korzystne, ile nie pociągające większych strat. Pionne nadzieje, stało się nagle jasne, że dalsza opozycja Francji wobec anglo-amerykańskich decyzji w sprawie Ruhry jest całkowicie bezcelowa. Można już było tylko wygłaszać patetyczne przemówienia, z czego nie omieszkali skorzystać, na czele innych znaczących osobistości, sam prezydent Auriol. Przemawiając z okazji rocznicy zawieszenia broni na uroczystościach w Compiègne, oświadczył, że „byłoby rzeczą niewybaczalną,

gdyby pozwolono raz jeszcze aby Zagłębie Ruhry wpadło w ręce wspólników Hitlera, którzy mogliby je użyć znów przeciw pokojowi. Do takich katastrof prowadzą błędy okresu powojennego z roku 1919” — wołał. „Byłoby jednym z największych paradoksów, gdyby ktoś wobec moralnych i materialnych zniszczeń dokonanych w całej Europie przez wojnę, mógł pomyśleć o wcześniejszej odbudowie Niemiec niż krajów przez nich zburzonych, uwalniając Niemcy od wszystkich obowiązków odszkodowań i dając im bez żadnej kontroli potęgę polityczną i ekonomiczną, która zwróci się jeszcze raz przeciw ich ofiarom”.

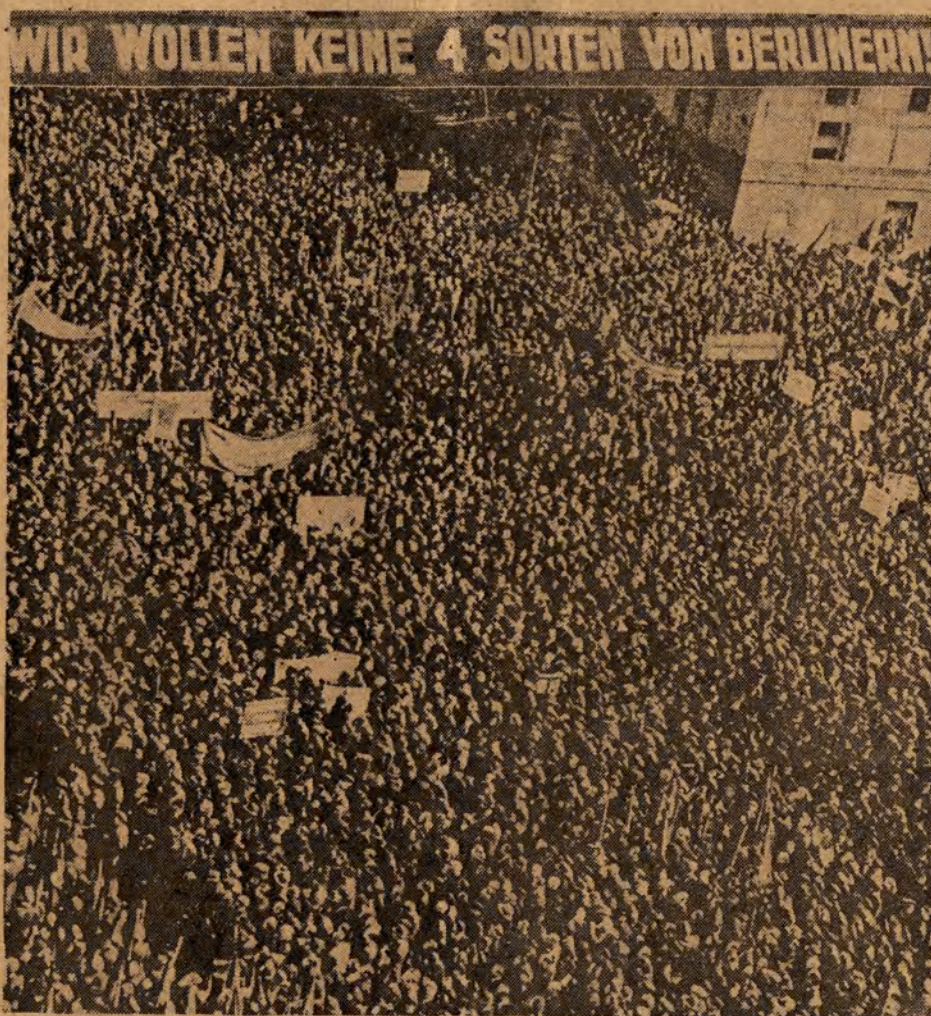
„Zapewniamy — powiedział Auriol — że żaden względ gospodarczy nie może służyć jako pretekst dla zdrad politycznych, moralnych i wojskowych. Byłoby szaleństwem przypuszczać, że Niemcy okażą pewnego dnia wdzięczność tym, którzy utorowali im drogę do zemsty; znaczyłoby to zapomnieć o traktatach, które Niemcy zawierali i deptali”. I na zakończenie: „Póki nigdy nie stanie się rzeczą realną, jeżeli zwycięzcy nie będą pamiętać o swych dawnych błędach, jeśli nie pozostaną zjednoczeni i wierni zasadom zwycięstwa, które głosili, wierni układom, które podpisali...”

Słowa na wagę złota. Szkoda tylko, że zawieszone w całkowitej próżni politycznej, gospodarczej i dyplomatycznej. Szkoda, że nie mają najmniejszego pokrycia ze strony realnych posunięć rządu francuskiego. Szkoda, że prezydent Auriol nie dodaje ku wiecznej rzeczy pamięci, że Francja pada ofiarą swej własnej polityki i że jej stanowisko przy stole obrad konferencji londyńskiej, stanowisko nieśmiałego petenta, z trudem bełkotającego swe zastrzeżenia, jest uwarunkowane całym systemem polityki francuskiej. Kto mówi A, ten musi powiedzieć i B — a że to B zabrzmiało bardzo żałośnie, to sprawa logicznego biegu rzeczy. Wybitny publicysta francuski, Pierre Courtade, określił rzecz zwięźle i celnie: „Czyż nie jest rzeczą oczywistą, że gdyby protesty rządu francuskiego przeciwko zbrodniczej decyzji amerykańskiej w sprawie Ruhry były czymś innym niż demagogiczna

W NUMERZE

między innymi:

- K. Grzybowski — Refleksje po Kongresie Pokoju.
- W. Kubacki — Satyra w „Dziadach” Mickiewicza.
- S. Quasimodo, W. Woroszyński, Jan Maria Gísges — wiersze.
- Chińskie pieśni ludowe.
- W. Jędrkiewicz — O Chopinie.
- H. Brodowska — Chłopi hrubieszowscy w Staszicowskim Towarzystwie.
- J. Litwin — Uwagi o upowszechnieniu kultury.
- A. Braun — Fikcyjne przeciwstawienia.
- J. Miller — W podróży.
- M. Buczkówna — Niezrównany Pan Czaó-Tsyjue.
- I. Łapiew — Tragedia amerykańskich farmerów.
- G. Szturchaniec, P. Pigwa, K. Martyński — uwagi.



Demonstracja 500.000 robotników berlińskich przeciwko polityce władz anglosaskich w Niemczech

(„Neue Berliner Illustrierte”)

hipokryzją, rząd francuski skorzystałby z okazji, którą mu nastręczyła propozycja Evatta — Trygve Lie, aby wypowiedzieć się niezależnie od Waszyngtonu w sprawie niemieckiej?”

„Naród francuski zwraca spojrzenie w stronę swego alianta — Związku Radzieckiego, który stale popierał tezy francuskie w sprawie Ruhry, a teraz daje nam nowy dowód swej woli pokoju w sprawie berlińskiej”.

Problem Berlina nie da się rozwiązać ani nawet zrozumieć w wyodrębnieniu z całokształtu problemu niemieckiego. Zagadnienie zaś całych Niemiec to przede wszystkim przeciwstawność polityki mocarstw okupacyjnych: a mianowicie strefy wschodniej, gdzie krok za krokiem i punkt po punkcie realizuje się program uchwał poczdamskich, i Niemiec zachodnich, gdzie Amerykanie, wciągając do swej gry dobrowolnie lub pod przymusem Anglię i Francję, tworzą ekspozyturę wielkiego kapitału i arsenał przeciwko demokracji. Casus Francja — Berlin czy casus Francja — Rura to różne oblicza tej samej sprawy, przejawy tej samej roboty, jaką prowadzi Amerykanie, mianowicie kolonizacji Niemiec i podporządkowywania sobie Europy.

Przyczyny konfliktu berlińskiego wybiegają daleko poza ramy Berlina i pozostają w ścisłej łączności z postanowieniami londyńskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych mocarstw zachodnich, gdzie zapadła decyzja rozbicia Niemiec i utworzenia marionetkowego państwa zachodnio-niemieckiego. Senarystyczna reforma walutowa w Niemczech zachodnich miała być pchnięciem dla przyspieszenia realizacji tych planów. Jest natomiast zupełnie jasne, że po podziale Niemiec na dwa obszary walutowe musi istnieć pomiędzy nimi jakaś kontrolowana granica. Nie trzeba udawać, że, gdyby radzieckie władze okupacyjne pozostawiły w Berlinie niekontrolowany obszar walutowy, luka ta zostałaby natychmiast wykorzystana przez wrogów gospodarki demokratycznej. Wobec konieczności wprowadzenia ograniczeń komunikacyjnych, Związek Radziecki podjął ciężar zaopatrywania całej ludności Berlina we wszystkie artykuły elementarnego użytku. Blokada Berlina była więc od początku jedynie wymysłem państw zachodnich, służącym celom zarówno efekciarstwa demonstracyjnego, jak i zwykłym handlowym — jako że osobny rozdział można by poświęcić opisowi zysków z różnych „powietrznych” spekulacji.

Reforma walutowa, „most powietrzny”, podział Niemiec, to różne warianty intensywnej akcji Amerykanów, mającej na celu zabezpieczenie ich domen przed jakimikolwiek wpływami demokratycznymi. Żadna bariera nie wydaje się tu dość silna, żadne przesładowanie demokracji dość skuteczne. Znana jest historia strajków robotniczych w strefach zachodnich; do dziś dnia ciągnie się jeszcze sprawa przywódcy Komunistycznej Partii Niemiec, Maxa Reimanna, który wyrokiem angielskiego sądu wojskowego został skazany na trzy miesiące więzienia. Bezpośrednim powodem procesu było przemówienie wygłoszone przez Reimanna 2 stycznia br. w Düsseldorfie na wielotysięcznym wiecu robotniczym. W przemówieniu tym przywódca KPD nazwał po imieniu niemieckich slugusów Zachodu, którzy przyczynili się do rozbicia kraju. Oświadczył mianowicie:

„Stwierdzam całkiem otwarcie, że politycy niemieccy, którzy, opierając się na statucie zagłębia Ruhry, wezmą udział w tworzeniu rządu zachodnio-niemieckiego, a tym samym przyczynią się do wprowadzenia reżimu kolonialnego w Niemczech zachodnich, nie powinni się dziwić, jeżeli naród niemiecki będzie ich uważał za Quislingów”.

Pigułka prawdy okazała się zbyt trudna do strawienia. Obrażeni zostali ci, którzy wiernie wypełniają wszelkie życzenia Anglosasów. Można protektorzy poculi się dotknięci i zareagowali natychmiast falą zakazów, aresztowań i represji, a przede wszystkim uwiecznieniem głównego reprezentanta „opornych i nieposłusnych”. Tacy, jak on, są diabło niewygodni dla Anglosasów w ich akcji kolonizowania Niemiec zachodnich. Kardynalnym warunkiem powodzenia tej roboty jest możność doprowadzenia do końca rozbicia Niemiec i wzniesienie muru „od Wschodu”. Banki nowojorskie nie tolerują ryzykownych posunięć ekonomicznych. Na Wall Street zapadła decyzja, że stawka na Niemcy musi opłacić się stokrotnie. Więc przede wszy-

stkim sojusz z niemieckim kapitałem, roku-jący jak najlepsze perspektywy. Przymierze to ma zresztą już daleko sięgające tradycje. Teraz przeżywa erę odrodzenia. Amerykanie nie żałują łask „sprzymierzeńcom”. Są oni przecież ich prawą ręką we wznoszeniu placówki Wall Street w sercu Europy. Kapitał finansowy USA prosperuje, doglądany pieczołowicie przez panów Flicków, Stinnesów, Schroederów, Thyssenów, Dinkelbachów i im podobnych zbrodniarzy wojennych. O denazyfikacji głuche milczenie. Nie wypada przecież denazyfikować sojuszników. Wznawiają więc produkcję koncerny — giganty, które stanowią element wzrostu reakcji politycznej w Niemczech, używają glebę, na której wyrósł hitlerizm. Dla Anglosasów nieważny jest udział I. G. Farbenindustrie w komorach gazowych Oświęcimia i innych — ważny jest aktualny udział tego koncernu, jako sprzymierzeńca w ekspansji ekonomicznej. Z tego samego tytułu zbrodniarzy wojenni von Papen i Schacht zostali uniewinnieni, dla tych samych powodów setki innych pogrobowców hitlerizmu korzystają z nieograniczonej swobody. Powinowactwa i zawężie-

nia interesów Schroederów europejskich: Schroederów zza oceanu są nie do rozwikłania, a sławny dom bankowy Schroederów to jeden z wielu o podobnych funkcjach i celach. Sprawa Maxa Reimanna, reforma walutowa, to różne fragmenty tej samej gry zmierzającej do utworzenia z Niemiec zachodnich potężnego bastionu wrogości wobec „Wschodu” i kolonii wielkiego kapitału amerykańskiego. W dniu 8 kwietnia br. nastąpiło niejako ukoronowanie tych wysiłków, a w każdym razie zakończenie pewnego ważnego etapu. Został mianowicie podpisany ostateczny tekst statutu okupacyjnego. Wielomiesięczne narady rządów mocarstw zachodnich znalazły wreszcie prawny wyraz w przypiętutowaniu podziału Niemiec i eo ipso utworzeniu najdalej na wschód wysuniętego członu imperialistycznej bazy amerykańskiej w Europie. Powstał statut okupacyjny zamiast traktatu pokojowego proponowanego przez Związek Radziecki, który wysuwa postulat utworzenia rządu ogólnoniemieckiego w zjednoczonym kraju i zakończenia w rok później okupacji wojskowej. Takie rozwiązanie sprawy, przekreśla-

jące federalizację Niemiec, umożliwiłoby promieniowanie wpływów demokratycznych na cały kraj, co paraliżowałoby dążenia anglosaskiego kapitału.

W tym stanie rzeczy zostały podjęte ponownie rozmowy na forum ONZ między przedstawicielami USA i ZSRR. Przy najważniejszym jednak przeglądzie bieżących i minionych wydarzeń, nie można spostrzec niczego w działaniach Amerykanów, co naprowadzałoby na jakiś ślad ich pojednawczych zamiarów. Wystąpienia Jessupa można by chyba tłumaczyć wyłącznie presją zewnętrznych zjawisk i wypadków, które przesunęły się ostatnio na polityczno-społeczny ekran świata. W związku z tym wydaje się słuszny komentarz „Berliner Zeitung”, czołowej gazety w strefie wschodniej, która pisze:

„Na długą metę nie mogła się ostać polityka sabotowania pokoju w Niemczech i na świecie, prowadzona przez mocarstwa zachodnie. Przygotowania wojenne wywołały potężną reakcję w postaci mobilizacji wszystkich świadomych sił pokojowych. Ten stan rzeczy musiał niewątpliwie wpłynąć hamu-

jący na ludzi zainteresowanych w rozpętaniu nowej awantury wojennej. Zauważyć również należy, że rozsądek, okazywany obecnie przez mocarstwa zachodnie, ma za przyczynę i tę okoliczność, że mimo wszystkich posunięć sabotażowych ze strony polityki Anglosasów gospodarka ZSRR i krajów demokracji ludowej wykazuje sukcesywny wzrost, podczas gdy gospodarka Anglii i innych satelitów USA przechodzi kryzys. Ten stan rzeczy uwiłocznł się również na odcinku niemieckim”.

Pismo wskazuje również na wydarzenia chińskie, jako przyczynę „pewnego ochłodzenia” na Zachodzie.

Jakkolwiek przed rozpoczęciem prac Rady Ministrów Spraw Zagranicznych trudno zinterpretować dokładnie charakter wystąpienia ze strony USA, nie ulega wątpliwości, że konfiguracja sił politycznych bieżącego okresu, wywołująca nieustanny wzrost przewagi czynników pokoju i demokracji, wywarła niemały wpływ na to, że zastygła jesienią na martwym punkcie sprawa konfliktu berlińskiego znów odżyła na forum ONZ.

Zofia Rzeplińska

Konstanty Grzybowski

REFLEKSJE PO KONGRESIE POKOJU

I.
Zacznijmy od pewnych przypomnień. 3dy w Berlinie w r. 1905 odbywał się meeting, w sprawie pokoju — cesarsko-niemiecki kanclerz Bülow odmówił wizy wjazdowej Janowi Jauresowi, wielkiemu przywódcy socjalistów francuskich. Gdy w roku 1932 odbywał się Kongres Pokoju w Amsterdamie — mieszczańsko-demokratyczny rząd królowej Wilhelminy odmówił wizy wjazdowych wszystkim delegatom radzieckim, między innymi Maksymowi Gorkiemu. Gdy w roku 1949 odbywał się Kongres Pokoju w Paryżu mieszczańsko-demokratyczny rząd Czwartej Republiki Francuskiej odmówił wizy wjazdowych... ale w tym przypadku wyliczenie nazwisk dotkniętych odmową byłoby zbyt długie. Metoda tych, którzy boją się pokoju, jest zawsze taka sama, niezależnie od tego, czy są sługami Hohenzollernów czy urzędnikami oswojonej z demokracją dynastii holenderskiej, czy rządzącymi sferami republiki mieszczańskiej — bo zawsze są narzędnymi tych samych czynników, wielkiej finansjery i wielkiego kapitału. Tylko „w r. 1949 istnieją już kraje, w których nie rządzi wielki kapitał i ci, którzy nie mogli pojechać do Paryża, by radzić nad ocaleniem — także Francji przed trzecią wojną światową, ci mogli się zjechać w Pradze. W miejsc jednej, potężnej manifestacji mieliśmy dwie, równie potężne. I to jest postęp, wiadoma oznaka wzrostu sił pokoju.

I przypomnienie drugie. Gdy w r. 1932 odbywał się amsterdamski Kongres Pokoju, przywódcy socjalistyczno-radzieckiej drugiej międzynarodówki zakazali swym członkom udziału w tym kongresie. Mimo tego — na Kongresie na 2.200 delegatów było 291 członków partii socjalistycznych, związanych z drugą międzynarodówką. Ale gdy w r. 1949 partie socjalistyczne znów okazały się mieszczańską ekspozyturą w ruchu robotniczym, znów potępiły walkę z podżegaczami wojennymi, znalazł się tylko jeden człowiek związany formalnie z tymi partiami, który na Kongres przybył — angielski labourzysta Zilliacus. I to jest także, mimo odmiennych pozorów, postęp. Granica między tymi, którzy służą kapitalizmowi — i wojnie, a tymi, którzy służą klasom pracującym — i pokójowi, ta granica jest dziś jaśniejsza i wyraźniejsza. I coraz mniej jest ludzi, którzy dają się oszukać socjalistycznymi frazesami bez socjalistycznej treści. I coraz bliższą jest pełna jedność klas pracujących.

II.
Istotę metody walki Kongresu o pokój ujął przedstawiciel tego narodu, który najwięcej dla utrzymania i utrwalenia pokoju uczynił i czyni. „Aby uniknąć wszelkich nieporozumień co do mego przemówienia, powinienem oświadczyć na samym wstępie, że chcę uprawiać propagandę. Chcę uprawiać propagandę za pokojem a przeciw sprawcom wojny” — powiedział Fadijew. „Kultura mieszczańska wiele przyczyniła się do tego,



„Nigdy matki francuskie nie pozwolą swoim synom walczyć przeciw Związkowi Radzieckiemu” — Plakat pokojowy w Paryżu

aby wywołać odruch niechęci na samo słowo „propaganda”, bowiem samo pojęcie „propaganda” służy w społeczeństwach mieszczańskich dla zakrycia rzeczywistości. Słowo stało się w społeczeństwie mieszczańskim i dla polityków, działaczy, a także uczonych mieszczańskich narzędziem mistyfikacji. Jeśli nie chcą, by ich społeczeństwa, by ich narody, poznały rzeczywistość (a lekają się tego z każdym dniem więcej i z każdym dniem bardziej bezskutecznie) mówią jak najgłośniej, jak najuroczyściej i jak najmiejniej. Ale dla społeczeństw ludowych, dla społeczeństw socjalistycznych słowo jest narzędziem dla poznania rzeczywistości, propaganda jest narzędziem dla uczynienia rzeczywistości jak najjaśniejszą, jak najwyraźniejszą dla wszystkich. I to zrobiły oba Kongresy pokoju, paryski i praski — a raczej jeden Kongres w dwóch miastach, dziś oddzielonych od siebie kurtyną ze złota i dolarów, w przyszłej Europie i w przyszłym świecie zjednoczonych tak, jak już są zjednoczone ich klasy pracujące w walce o wolność.

Najkonkretniej, najwzięjiej ujął istotne cele siewców wojny amerykański profesor, — nic dziwnego, wszak obserwuje ich główną kwaterę. Profesor Dubois powiedział: „Stany Zjednoczone pragną się stać największym wyżywką dla pracy niewolników kolonialnych przy pomocy kontroli pracy i zysków w Europie, Azji i Afryce”. Uczony z kraju planu Marshalla wskazał w jednym zdaniu na istotny sens tego planu, na istotny sens imperializmu w erze światowej supremacji Stanów Zjednoczonych nad wszystkimi państwami kapitalistycznymi. I wskazał tym samym, na czym polega zwycięstwo Stanów Zjednoczonych w II wojnie imperialistycznej. Tylko, że druga wojna imperialistyczna była równocześnie dla szeregu narodów pierwszą wojną wyzwoleniczą, stąd świat nie składa się dziś z samych państw kapitalistycznych. Dlatego dyktatorowi świata kapitalistycznego potrzebna jest trzecia wojna imperialistyczna.

I tu z kolei trzeba zacytować Zilliacusa. Mówiąc o rewolucji październikowej, o próbie, by „położyć kres pierwszej wojnie światowej przez rewolucję społeczną” dodał on: „gdyby im się to udało, gdyby rewolucja socjalistyczna rozciągnęła się na całą Europę, nie byłoby Hitlera ani Mussoliniego, ani drugiej wojny światowej”. Jeśli się pamięta, że Zilliacus należy do tego samego stronnictwa, do którego należy Bevin, jeśli się pamięta, że pseudosocjaliści angielscy nie mają odwagi wykluczyć Zilliacusa ze swego stronnictwa jeśli się przypomni, że sam pomysłu wykluczenia w przyszłych wyborach kandydatury Zilliacusa z ramienia Partii Pracy wywołał burzę protestów w „dłoch” partyjnych i w okręgu wyborczym Zilliacusa

— to nie można nie doceniać znaczenia jego wystąpienia. Zilliacus jest bez mała odosobniony w swej partii w Izbie Gmin. Zilliacus jest jednak nie do pokonania wśród swych wyborców. I to tłumaczy, dlaczego mógł powiedzieć to, co powiedział w zakończeniu swego przemówienia.

Zakończył on: „Robotnicy angielscy nie będą się bili dla utrzymania kapitalizmu w Europie. Nie będziemy się bili. Nie będzie wojny o to, co się nazywa „cywilizacją zachodnią”. To byłoby idiotyzmem”. Po nim zaś oświadczył Donald Henderson, przewodniczący amerykańskiego związku zawodowego pracowników wyżywienia i rolnictwa: „Amerykanie nie zapomnieli, że ich synowie żyją i że ich domy są całe tylko dlatego, że wielka i potężna armia czerwona opiera się faszyzmowi... Wierciecie mi przyjaciele, że nie uda się zmusić nas do wojny przeciw wielkiemu Związkowi Radzieckiemu, republice pracujących. Ze nie uda się doprowadzić nas do tego, byśmy oddali nasze życie za Wall Street, za polityków Waszyngtonu, za dolara”. I te dwa oświadczenia zasługują na wyróżnienie, jako jedne z najcenniejszych na Kongresie. Dlaczego? Bo są to oświadczenia przedstawicieli robotników krajów anglosaskich. Czyli dwóch krajów, jedynych wielkich krajów przemysłowych, w których większość klasy robotniczej nie jest jeszcze w szeregach partii komunistycznej, nie stoi za partią ko-

munistyczną. Jeden ze składających to oświadczenie jest członkiem najbardziej przeżartego wpływami mieszczańskimi stronnictwa socjalistycznego, drugi nie jest nawet socjalistą, jest związany z partią Wallace’a. I oto pierwszy z nich stwierdza, że jedynym sposobem ocalenia Europy przed faszyzmem byłoby zwycięstwo hasła rewolucji październikowej w całej Europie, drugi widzi w Związku Radzieckim ojczyznę pracujących. Jeden i drugi oświadcza, że klasa robotnicza tego kraju nie będzie walczyć przeciw Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji ludowej.

Przypomnijmy nieprzytomny, obrzydliwy, paszkwilański wybuch pasji, gdy takie samo oświadczenie złożył Thorez imieniem klasy robotniczej Francji, Togliatti imieniem klasy robotniczej Włoch. To są komuniści. I oto zaczęły się wrzaski o „piątą kolumnie”, o „agentach Kominformu”, o „zdradzie kraju”, wołania o prokuratora. A obecnie mówi to samo członkowi i posłowi ze stronnictwa rządzącego Anglią, mówi to przywódca tego związku zawodowego, od którego zależy aprobowanie Stanów Zjednoczonych. Stanowisko robotników różnych krajów wobec partii komunistycznej może być różne. Stanowisko mas pracujących całego świata wobec krajów socjalistycznych i zmierzających do socjalizmu jest wszędzie takie samo. I stanowisko klasy robotniczej wobec kapitalistycznych planów wojennych jest wszędzie takie samo. A można prowadzić wojnę, jeśli się udało oszukać własną klasę robotniczą, nie można jej prowadzić, jeśli własna klasa robotnicza widzi prawdę. I to jest właśnie — wracamy do Fadijewa — „propaganda”. Propaganda socjalistyczna. Pokaża prawdę masom pracującym świata, i to uczynił Kongres parysko-praski.

Trudno zaś znaleźć lepszy symbol tego dzieła, niż zakończenie pieśni Paula Robesona. Murzyńska pieśń o doli czarnych obywateli Stanów Zjednoczonych kończyła się dawniej słowami: „nie przestaniemy się zaliczać”. W Paryżu Robeson śpiewał: „nie przestaniemy walczyć”. Kongres był walką ludów o pokój. Front tej walki nie biegnie jakąś oznaczoną linią na ziemi, linią, którą by można wrysować w mapy wojenne. Front ten biegnie między safesem bankiera a izbą jego pracownika, między salą posiedzeń rady nadzorczej przedsiębiorstwa kapitalistycznego a halą fabryczną tego przedsiębiorstwa, między pracownią uczonego a gabinetem wielkiego kapitalisty, który czeka, by wynalazek uczonego przemienić na dolary na swym rachunku bankowym. I fronty, które się dadzą wrysować na mapie można przełamać, i armie, których pozycje można wrysować na mapie, można okrążyć i rozbić. Ale takiego frontu nie można przełamać, takich armii nie można okrążyć. Takiego zaś frontu, takich armii wyrazem był Kongres Pokoju.



„Pokoju, pracy, chleba”. Z demonstracji antywojennych we Włoczek

W OSTATNIM NUMERZE „WSI” Nr 19 (198) z dnia 8 maja 1949 r.:

Konstanty Grzybowski — Młodzież robotniczo chłopska na wyższych uczelniach; Bogdan Suchodolski — Podstawy wychowania; Paul Jamali — Wiersz — przekład z franc. Jana Guranowskiego; Wiesław Jazdzyński — Ochrona pracującego człowieka; Anna Kamińska — Trylogia wiejska Stanisława Piętaka; Leszek Lorek — Wiersz: Józef Baltusis — Pieśń koguty; Semen Babajewski — Jak Prochor zostaje elektrykiem; Zygmunt Krogulski — Wiersz: Jerzy Miller — Anna Proletariuszka; Aniela Lemnicka — Książki KUK. Józef Pogan — Spotkanie klasowe. Jerzy Pomianowski — Przyczynki do przekładów A. Czechowa; Jerzy Waleńczyk — Życie literackie Białorusi; Paulina Czyżowa — O wychowanie marksistowskie; Władysław Blachut — Listonosz wiejski i kultura; Józef Grabowicz — W sprawie wyższych kursów korespondencyjnych; Fakty i zdania; 25 ilustracji; 12 stron.

Wacław Kubacki

SATYRA W „DZIADACH” MICKIEWICZA

pisząc i ogłaszając poszczególne części „Dziadów”, Mickiewicz nosił się z myślą spojenia kiedyś wszystkich fragmentów w jedną kompozycyjną całość i stworzenia w ten sposób dzieła, które by ogarnęło wszystkie żywioły jego twórczości i wyraziło pełnię poglądów etycznych, społecznych i politycznych.

Ludowy obrzęd „Dziadów”, który dostarczył poecie kompozycyjnego schematu do tak szeroko i głęboko pojętego utworu, przez swą tendencję moralną, elementy popularnej filozofii i gnomiczną formę pozwalał na wypowiedzenie w literackich symbolach ogólnych myśli o życiu i celu człowieka na świecie.

Próba charakterystyki satyrycznego żywiołu w „Dziadach” prowadzi do następujących spostrzeżeń: w II części góruje satyra społeczna; część IV, poświęcona przeżyciom osobistym, zapowiada pojawienie się satyry politycznej; nie wydana za życia poety część I przedstawia jakby fazę przejściową między ogólną II częścią i prywatną IV częścią „Dziadów”; część III, najdojrzalsza i najbogatsza, zawiera różne formy satyryczne z przewagą tonu społeczno-politycznego.

Część II „Dziadów” odzwierciedla w głównych zarysach etyczno-społeczne poglądy epoki racjonalizmu, myśli o konieczności porządkowania pragnień, dążeń i marzeń jednostki — dobru ogółu, zasadzie społecznego obowiązku. Racjonalizm epoki wyraża się w akcentowaniu realizmu życiowego, jako zasady bytu. Mickiewicz wypowiada tę myśl w poetycko-symboliczny sposób stawiając za warunek szczęścia: zapoznanie się z cierpieniem, doświadczenie bólu, zetknięcie się z ziemią, słowem przeżycia prawdziwej ludzkiej doli.

Para szczęśliwych na świecie dzieci — aniołków, nie może się dostać do nieba i prosi o dwa ziarna gorzkości, bo

*„Kto nie doznał gorzkości ni razu,
Ten nie dozna słodczyzny w niebie”.*

Pasterka Zosia, która przeżyła całe życie i wymigała się nawet od tak skromnej postaci społecznego obowiązku jak małżeństwo, wyznaje:

*„Żyłam na świecie, lecz, ach, nie dla
świata!”*

Za karę rzuca nią bez przerwy wiatr od ziemi pod niebo, albowiem

*„Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie”.*

Nawet taka krwawa satyra na życie szlachty i ucisk chłopów, jak widmo złego pana, obleka się w etyczno-filozoficzną szatę Oświecenia. Zły pan przez swą nieludzką sam się wyłącza z gromady ludzkiej, odciął się od ludzkiego gatunku i dlatego ludzie nie mogą mu pomóc:

*„Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże”.*

Na dydaktyczny charakter dzieł młodego Mickiewicza od dawna zwrócono uwagę. Niektórzy badacze wytykali poecie surowość moralną, inni moralizatorstwo, twierdząc, że autor II części „Dziadów” wprowadza zjawy w tym celu, żeby mieć sposobność do wygłoszenia morału.

Salvatore Quasimodo

PROŚBA

Wasze bębny przestały wybijać rytm śmierci
pod sklepieniami wszystkich horyzontów,
pod całunami wplecionymi w sztandary,
nie błagają więcej o litość rany i lzy
w miastach leżących w ruinie.
I nikt nie woła: „Panie, mój Panie,
czemuś mnie opuścił?” I nie cieknie już mleko
ni krew z piersi rozdartej. Więc teraz wy,
coście wśród magnolii skryli armaty,
dajcie nam dzień jeden bez broni
na trawie, przy szmerze wody płynącej
i świeżej trzciny wplątanej we włosy,
w uścisku dziewczyny, co kocha.
Niech nie zabrzmi znieścacka przed nocą
godzina zaciemnienia. Dzień, jeden
jedyny dzień, o władcy tej ziemi,
zanim znów zadudni w powietrzu żelazo
i odlamek wypali nam czoło.

Tł. A. K.



X. Dunikowski — Adam Mickiewicz

Ze stanowiska powszechnie przyjętych norm wydawało się zbyt srogi ukaranie pasterki Zosi za to, że nie chciała sobie wybrać męża. Osiemnastowieczna nauka moralności uważała małżeństwo za obowiązek społeczny. Grzech Zosi z II części i Gustawa z IV części „Dziadów” zaliczało Oświecenie do grzechów nietowarzyskości, czyli do wykroczeń przeciw społecznej zasadzie życia. O miłosnym obowiązku kobiety często pisali poeci Oświecenia. Publicystyka i satyra racjonalistyczna zajmowały się tym wykroczeniem, zwanym potocznie w epoce „sentymentalnością” i „lekkomyślnością przyjemną”, a nawet porównywały tego typu grzeszników do motyli! „Z motylami równa was lekkość, pstryczka i niestałość” — pisał jeden z Wileńskich Szubrawców.

Szczególnie wzrusza nas dzisiaj los dzieci z II cz. „Dziadów”, które nie były winne temu, że z powodu młodocianego wieku nie zdążyły nie zrobić dla świata.

Na smutny los dzieci trzeba patrzeć ze stanowiska racjonalistycznej etyki, która głosiła wzniosłe ideały humanitaryzmu i solidaryzmu. Zdolność współczucia i gotowość

przyjścia z pomocą niedoli była probierzem moralności. Moralisci Oświecenia uważali, że przyzwyczajenie do dobrobytu i wygody, niezaznanie biedy, czynią człowieka niewrażliwym na cudze nieszczęście. Nieszczęśliwy współczuje nędzy pospolicie więcej, aniżeli ów, który nigdy nie doświadczył przykrych odmian losu. Dzieci-aniołki, jakby wynikało z ich beztróskiego szczebiotu, były dziećmi zamożnych rodziców; nawet badacze starego autoramentu uważali je za dzieci właścicieli ziemskich. Zbytńi dobrobyt, nadmiar słodczyzny mogłyby łatwo — w myśl etyki Oświecenia — zatwardzić ich serca na niedolę bliźnich. Z takiego aniołka mógłby łatwo wyrosnąć — Zły Pan.

Prócz etyki racjonalistycznej trzeba jeszcze brać pod uwagę fakt, że dzieła artystyczne są czymś więcej, niż odbiciem otaczającej nas rzeczywistości. Jest to moralność, którą można by nazwać moralnością dzieła literackiego. Kara w utworach literackich bywa zwykle większa niż przestępstwo. Taka jest główna cecha moralności literackiej. Nie jest to bowiem tylko moralność systemów etycznych i kodeksów prawnych, przykrojonych na miarę słabości ludzkiej. Jest to moralność dzieł sztuki, czyli idealnych konstrukcji społeczno-moralnych.

„Dziady” należą do tzw. budującego rodzaju twórczości. Dydaktyzm idzie tu w parze z przypowieścią moralną. Ustęp poświęcony Złemu Panu to przykład klasyczny.

Według popularnych mniemań moralnych warstwy szlacheckiej XVIII wieku Zły Pan mógłby się być wypowiadać na łożu śmierci, zapisać wiece jakiegoś klasztorowi z obo-

wiązkiem odprawiania wieczystej mszy za swą duszę i zapewne poprawiłby w ten sposób szanse swego zbawienia. Takie jednak rozwiązanie w poemacie mogłoby mieć nieprzyjemny posmak. Widmo nie działałoby tak silnie na widzów, jak działa obecnie. Poza tym zgromadzeni na Dziadach mogli odejść do domu w przeświadczeniu, że wymierzono im sprawiedliwość przynajmniej na tamtym świecie i przynajmniej w imię kodeksu literackiego, kiedy inne zbiory praw zawiodły. Przejmująca opowieść o Złym Panu jest społeczna treściowo, tematycznie. Przyswieca jej jednak osiemnastowieczna idea solidarystyczna. Kmiotkowie pragną przyjść z pomocą nieludzkemu panu. Świecki solidaryzm gatunku ludzkiego i religijny solidaryzm „świętych obcowania” podały sobie ręce. Zgromadzeni nocą na Dziadach wieśniacy nie robią rewolucji!

W indywidualistycznej — ogólnie biorąc IV części „Dziadów” mamy pewną niespodziankę. Z prywatnej sprawy Gustawa rozwija się wątek społeczny. Zawód miłosny bohatera odsłania w pewnym momencie powikłania klasowe. Przez głowę oszalałego, nieszczęśliwego kochanka przelatuje myśl o zemście, w której odzywa się echo krzywdy klasowej. Z powodu tego ustępu St. Winda-kiewicz w swej książce o Mickiewiczu wspominał o „zaciekłości ubogiego proletariusa”.

W IV części „Dziadów” Mickiewicz-roman-tyk stworzył postać nieuspołecznionego, zagłębionego w swoim nieszczęściu, umarłego dla świata Gustawa; równocześnie jednak racjonalistyczny ideał człowieka żyjącego w gromadzie ludzkiej, ideał na którym wyrósł Mickiewicz — filomata, kazał poecie przezwyciężyć tę w danej sytuacji życiowej bliską mu postać literacką. Książd jasno określa, na czym polega wina Gustawa.

Jest to wina ziemiska:

*„Przeciw światu i przeciwko sobie
Cięższe twoje, niżeli przeciw Bogu,
grzechy.
Człowiek nie jest stworzony na lzy
i uśmiechy,
Ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi”.*

Temu wewnętrznemu rozdwojeniu poety odpowiadał rozdział ról w dramacie pomiędzy Księża i Gustawa.

Mimo, że obrzędowo-misteryjna forma dzieła mogła nasunąć metafizyczne „zaświatowe” rodzaje kaźni za to przestąpienie, poeta skazuje Gustawa na karę realną, ziemską. Gustaw zdaje się wyznawać racjonalistyczną zasadę odpłat „systemu fizyczno-moralnego”, że użycie terminu kołłątajowskiej etyki. Księżu pragnącemu przyjść mu z pociechą religijną Gustaw odpowiada, by tę pomoc zachował dla innych:

*„Im więc nieś ulgę prośbą i mszalną
ofiara;
Dla mnie oprócz wspomnienia, nic więcej
nie proszę.
Za grzech mój życie było dostateczną
karą”.*

Nie jedyny to ślad przełamania się dwu stylów, walki klasycyzmu z romantyzmem w IV części „Dziadów”, która niesłusznie uchodzi za dzieło typowo romantyczne.

Analizie mickiewiczowskiej satyry rzuca także na tę sprawę interesujące światło. W omawianej części mamy kilka ubocznych wątków satyrycznych. Jeden to satyra obyczajowa typu osiemnastowiecznego, satyra na lichwiarza, który po śmierci został kołłątkiem, robaczkiem toczącym drzewo kantor-ka. Dwa dalsze wypadki satyryczne świadczą już o bliższym kontakcie z rzeczywistością polityczną. Jest to satyra na carską cenzurę, dążącą do zniszczenia oświaty w podbitym narodzie i na prześladowców patriotycznej młodzieży wileńskiej.



„Dziady” w Teatrze Narodowym w Warszawie
Fot. J. Maiarski

CHIŃSKIE PIEŚNI LUDOWE*)

Nie Yi-tsung (IX w.)

CHŁOPI

Ojciec pracuje na polach nizinnych,
Syn karczuje krzewy u podnóża góry,
W szóstym miesiącu zboże jeszcze nie kielkuje
(lecz w domu urzędnika przygotowują już spichrze).
Raz jeszcze skopują pole w słońcu południa,
Krople potu spadają na zboże i ziemię,
Kto pomyśli — że w garnuszku z pożywieniem
Każde ziarno dla nich jest troską i cierpieniem.

Ma-Tai (IX w.)

STARY CHŁOP

W chwilach wolnych chłop sadzi drzewka,
Te drzewka zestarzeją się przed nim.
Jego dom stoi na górze pośród białych chmur,
On łowi i sadzi drzewka na brzegu błękitnego morza,
Córce swej każe zbierać górskie zioła,
Prowadza cieleta do czystej wody —
Sam ustanowił prawa dla swego życia,
Bez niepokoju i troski jego ostatnie lata.

Tai-Ping (XIII w.)

SEKWESTRATOR

Dlaczego pies tak gwałtownie ujada?
Urzędnik stoi przed moimi drzwiami,
Napędca ubrany — otwieram,
To skarbnik podatkowy, każe mi płacić.
Jestem bardzo biedny, o zwłokę błagam,
Lecz to przyprawia go jedynie o gniew,
Potrąca mnie, wchodzi do mojego domu,
Do domu, gdzie nie ma nic do zabrania.
Chcę pożyczyć od mego sąsiada,
Lecz jego kufer także pusty.
Pieniądze, pieniądze! Jakże trudno je posiąść,
Oto sam jestem i smutny — nie mam nic.

Mei Yao-tchen (XI w.)

DO PRZYJACIELA,
KTÓREMU URODZIŁA SIĘ CÓRKA

Gdy rodzi się chłopiec, wszyscy się cieszą,
Gdy rodzi się dziewczynka, wszyscy się wstydzą,
Gdy rodzi się chłopiec, biegną zawiadomić sąsiadów,
Gdy rodzi się dziewczynka, wydłużają się twarze,
Gdy syn rośnie, zajmuje się książkami i poezją,
Gdy dorasta dziewczynka, poleca się jej staranie o podwórze.
Kiedyś nadejdzie chwila, gdy zjawi się młodzieniec
I pozdrowi w jadalnej sali — starych teściów?

PIOSENKA

U sąsiadów na prawo chłopak co noc się włóczy,
A sąsiedzi na lewo mają córkę niewinną.
Przed portalem, w listowiu jest już zupełnie ciemno,
Słońce spać się układa — kto się skrada pod murem?

Fang Yi-tche (XVII w.)

Gdy syn opuszcza rodziców
Łzy wylewa przed dziećmi i żoną;
Gdy córka opuszcza rodziców
Choć płacze — jej serce jest zadowolone.

Wang-Han (VII - VIII w.)

Wino z winnicy mieni się w kielichu,
Chcę pić, lecz słyszę apelu trąbki.
Ja usnę w polu pijany. Nie śmiecie się —
Od dawien dawna niewielu wraca z wojny.

Tai Ping (XIII w.)

PIOSENKA

Błoto jest bardzo śliskie, błoto jest bardzo śliskie,
Droga jest bardzo długa, deszcz bezustannie pada.
Na dziesięć kroków, które stawiam, potykam się dziewięć razy.
Mój koń brnie śmiało, lecz wlecze się jak żółw kulawy.
Błoto jest śliskie, błoto jest śliskie — lecz nie jest mi smutno,
Gdyby ryż spaliła susza, gdyby zmarniały zboża — o ileż byłoby smutniej.

Yang - Fang

Jestem sam w pustej sali,
Troska mnie przeszywa tysiącem strzał;
Smutne echo odpowiada mym westchnieniom.
Płacząc wypowiadam swój żal.
Błądząc niepewny, rozglądam się dokoła,
Jasne słońce na zachodzie kładzie się spać,
Nie widziałem jej. Nie przeszła ta, którą kocham.
Ptaki zmęczone lataniem wracają do gniazda.
Szczęśliwe ptaki, odnajdują swe miejsce,
Zbierają się razem przed nocą, która zapada.

Kao Yuan-tchen (VII w.)

PIOSENKA WIOSENNA

Rzeki przybierają na wiosnę;
na brzegach rzek gaje bambusowe,
liście drzew potrąca woda,
tak we mnie dla ciebie uderza serce.

Fu-Huan (X w.)

WÓZ SIĘ TOCZY

Wóz się toczy,
rwące konie,
moja myśl ci towarzyszy
i opuścić cię nie może.
Gdzie odchodzisz?
Oddalasz się na zachód,
chciałbym być twoim cieniem,
by iść za tobą wszędzie
Gdy jesteś w ciemności
nie widzę twego cienia;
chcę patrzeć na ciebie,
bądź zawsze w świetle.

*) Z „Anthologie raisonnée de la Littérature Chinoise” — Payot — Paris — 1948. — Przekład — Mieczysław Buczkówny.

Wincenty Jędrkiewicz

O CHOPINIE

Lata młodzieńcze Fryderyka Chopina były okresem wielkich przemian ekonomicznych i gospodarczych w Polsce. Na Wiśle pojawiły się wówczas pierwsze parostatki, budowane w Nantes według projektów inż. Guiberta. Cały kraj zaczęła pokrywać sieć dróg bitych, a Wilhelm Kolberg, serdeczny przyjaciel wielkiego kompozytora, opracowywał zrealizowane później plany budowy pierwszych kolei na terenie Królestwa Kongresowego. Dzięki inicjatywie i energii ministra Ksawerego Druckiego-Lubeckiego i Rajmunda Rembielińskiego, Prezesa Komisji Województwa Mazowieckiego, na miejscu niedawnych państw i ugorów powstawały fabryki, cukrownie, cegielnie. Był to okres narodzin łódzkiego okręgu przemysłowego. Rajmund Rembieliński po swoim powrocie z Łodzi (wówczas — miasteczko, niewiele się od wsi różniące) słuchał muzyki małego Chopina, rozmawiając ze starszymi o planach zamienienia małej osady w wielkie miasto przemysłowe.

Wyraźniej, niż w jakiegokolwiek innej epoce, zaczęły zjawiać się wtedy w Polsce oznaki przemian gospodarczych tworzących wielki przemysł fabryczny i równocześnie powołujących do życia masy robotnicze, które kapitałizm z natury swej obdarzał widmem bezrobocia i nędzy. Na zachodzie Europy, gdzie wielki przemysł powstał dużo wcześniej, problemy nędzy proletariackiej i niesprawiedliwości społecznej stały się w tym czasie bardzo aktualnymi zagadnieniami, absorbującymi umysły wielu myślicieli, a przede

wszystkim Henri de Saint-Simona, którego dzieła „Système industriel” (1821) oraz „Catholicisme des industriels” (1824) przyjęto za ewangelie ludzi postępu. W dziedzinie ideologii ludzkiej pojawił się tzw. „socjalizm utopijny”, a więc marzenie o stworzeniu bez walki takiego ustroju, w którym rosnące uprzemysłowienie kraju nie będzie łączyło się z materialnym niedostatkiem mas, lecz przeciwnie: zapewni wszystkim możliwość wspólnego korzystania z dobrodziejstw postępującej naprzód industrializacji. Myśli o sprawiedliwości społecznej, nowe prądy, przepływały z Francji do Polski. Młodzież entuzjastycznie się nim. Widziała w nich drogę, wiodącą do nowego, lepszego świata. A między tymi, którzy chcieli tworzyć ten nowy świat, znajdował się także i Chopin.

Biografowie wielkiego kompozytora nie zwracali dotychczas prawie żadnej uwagi na postępowość jego poglądów i myśli. Fryderyk Chopin, jak gdyby na przekór wszystkim sentymentalnym damom, które słuchały jego muzyki z twarzą ukrytą w dłoniach i romantycznym uniesieniem w duszy, był przecież rewolucjonistą i postępowcem. I rewolucyjność ta nie powstała w nim dopiero na Zachodzie, gdzie był bezpośrednim świadkiem wielkich wydarzeń i przemian, ale początek jej i źródła tkwiły w jego latach młodzieńczych, w okresie warszawskim. Był wówczas taki moment w życiu Chopina, w którym poczuł się on najzupełniej wyzwolony od uroku białych dworów, oplecionych winem. Sprawy, o których ze zgorznięciem mówiono przy wiejskiej kawie

ze śmietanką, nie budziły w nim odrazy. Chopin, miłośnik wsi, pokochał Warszawę. Znalazł tam krąg przyjaciół, którzy zaczęli odkrywać mu nowe, nieznanne światy idei i myśli. Fryderyk mówił i pisał o sobie zawsze bardzo mało, ale same nazwiska ludzi, którymi się otaczał, i miejsca, gdzie najchętniej przebywał, mówią o nim dużo. Eustachy Marylski z Pęcic, wychowanek pensjonatu rodziców Chopina, trochę ludoman, a przede wszystkim zagorzały saint-simonista, należał do najserdeczniejszych przyjaciół Fryderyka. O nim to właśnie pisał Adolf Nowaczyński w swej książce „Młodość Chopina”:

„Naczytał się Saint-Simona, czy jakichś tam, w Warszawie poprzyjaźnił się z ultrademagogiem Maleszewskim (Piotr, syn z lewej ręki księcia Michała Poniatowskiego), no i w głos na salonach przy weselach, w kawiarniach, na recepcjach powtarzał swoje okropieństwa, a to o możnowładcach — dziedzicznych wydziercach, a to o głodzie, chłódzie, ciemnocie, a to, że pałace godzi się wypróżnić, możnowładców przepędzić, kmielom ziemię rozdać, żadnych poszkodowań w zamian nie wreczając, itp. Obywatelski syn! Ziemiańskie dziecko! Tyle lat temu!”

Pomijając ironiczny ton Nowaczyńskiego, jaki cechuje zawsze publicystów endeckich, kiedy piszą o sprawach postępu, należy przypuszczać, że od Marylskiego Chopin czerpał najwięcej wiadomości o przemianach społecznych, które mają nadejść, i o konieczności zaprowadzenia między ludźmi równości i sprawiedliwości. Z listów naszego kom-

pozytora wiemy, że jego stosunki z młodym dziedzicem z Pęcic były przyjazne, serdeczne i trwałe.

Eustachy Marylski nie był jednak jedynym przewodnikiem duchowym młodości Fryderyka. Wspomniany już prezes Rajmund Rembieliński, stryj tak bardzo przez Chopina uwielbianego pianisty Aleksandra, Stanisław Staszyc, po którym kompozytor chował „na pamiątkę” kawalek kuru, okrywającego trumnę wielkiego społecznika, poeta-profesor Kazimierz Brodziński i wielu, wielu innych — nauczyli Chopina widzieć w prostym ludzie wiejskim tę siłę, do której należy przyszość narodu i państwa. I to, co Norwid pisał o Chopinie, że „podnoszenie ludowych natchnień do potęgi przenikającej i ogarniającej ludzką całość — podnoszenie ludowego do ludzkości... wysłuchać się daje z Murzy Fryderyka...”, to głębokie i trafne sformułowanie istoty chopinowskiej sztuki było niewątpliwie tylko wynikiem poglądów i myśli kompozytora, ukształtowanych w młodości. Artystyczna wyobraźnia Chopina była jak najbardziej muzycznie „czysta”. Nie znał i nie miał on innych sposobów wypowiadania się, jak tylko przez muzykę. Dlatego w muzyce Chopina zamknięta jest cała jego miłość do prostych ludzi wiejskich, cała jego ideologia i światopogląd.

W kawiarni Brzezińskiej na ul. Koźziej w Warszawie, gdzie Chopin bywał codziennym gościem, spotykał on swoich serdecznych przyjaciół i rówieśników. Był między nimi rewolucjonista i trybun ludu Maurycy Mochacki, autor pierwszej recenzji, jaka się o

Chopinie pojawiła w ówczesnym „Kuryerze Polskim”, byli bracia Wilhelm i Antoni Kolbergowie, kilku młodych muzyków oraz Dominik Magnuszewski, którego powieść „Małgorzata z Zębocina, czyli Krwawy chrzest” miała wiele znamion niefalszowanego realizmu. Omawiano tam nie tylko sprawy artystyczne, ale dyskutowano szeroko na tematy aktualnych zagadnień społecznych i ekonomicznych. Maurycy Mochnacki zapoznał Chopina w kawiarni Brzezińskiej z problematyką „Konrada Wallenroda”. Tam — jak pisze Nowaczyński w cytowanej już książce — dowiedział się Chopin, „czego właściwie chciał i co planował major czwartaków Łukaszyński”. I tutaj po raz pierwszy, ilito to młodych rówieśników i za co siedzi za kratami, w kłauzurze „u Karmelitów na rekolekcjach”. Rozmowy te wywarły wielkie wrażenie na Chopinie. Jego patriotyzm, nienawiść do caratu i miłość Ojczyzny rozgorzały płomieniem wielkim i silnym. „Czemu nie mogę być chociaż dobosem i bić w beben?” — pisał na wieść o wybuchu w kraju Powstania Listopadowego. Niektóre fragmenty jego notatek podróży, a zwłaszcza to, co pisał w Sztutgarcie w sierpniu 1831 roku po zdobyciu Warszawy przez Paskiewicza, siłą patriotycznego uczucia dadzą się jedynie porównać z Wielką Improwizacją z III części „Dziadów”:

„O Boże jesteś Ty! — Jesteś i niemiścis się! Czy jeszcze ci niedość zbrodni moskiewskich — albo — albo sam Moskale!”

... — a ja tu z gołymi rękami — czasem tylko stękam boleję na fortepianie... Boże boże wzrusz ziemię... niech pochłonie ludzi tego wieku —

Nastroj Chopina, wyrażony w powyższych notatkach, był dla niego tym samym, czym dla Mickiewicza „bania poezji”, która rozbiła się nad głową poety w katedrze drezdeńskiej. Skomponowane w tym czasie utwory Fryderyka, jak Etiuda C-moll, zwana „Rewolucyjną”, oraz Preludia A-moll i D-moll, są pieśniami, wzywającymi do odwetu i zemsty. Całkowite zespolenie duszy artysty z duszą swego narodu stało się w tych kompozycjach faktem dokonany.

W warszawskim okresie Chopina powstała między innymi część Etiud z Op. 10, a poza tym oba Koncerty fortepianowe, Mazurki z Op. 6 i 7, Fantazja na tematach polskich Op. 13 oraz Krakowiak „Grand Rondeau de Concert” Op. 14. Były to utwory, skomponowane w „urbanizacyjnym” okresie kompozytora, w atmosferze gorących dysput w Café przy ul. Koziej, o których pisze biograf Fryderyka:

„Na Frysiarza było to wszystko, co tam mówiono, niepomniernie wielkie wrażenie. Zanim się tam przejmował i za czule brał to do serca. Słuchał żarliwie zapalczywych dyskusyj tych znanych pisarzy rzeczy ówczesnych...”

I tyle takich nowych nazw i nazwisk, i terminów, i maksymów, i doktrynow... Saint-Simon... Dekabryści... Delimitacja... Gminowładztwo... Cenzura... Liberalizm... Masony... Jezuita... Carat... Przywłaszczenie.

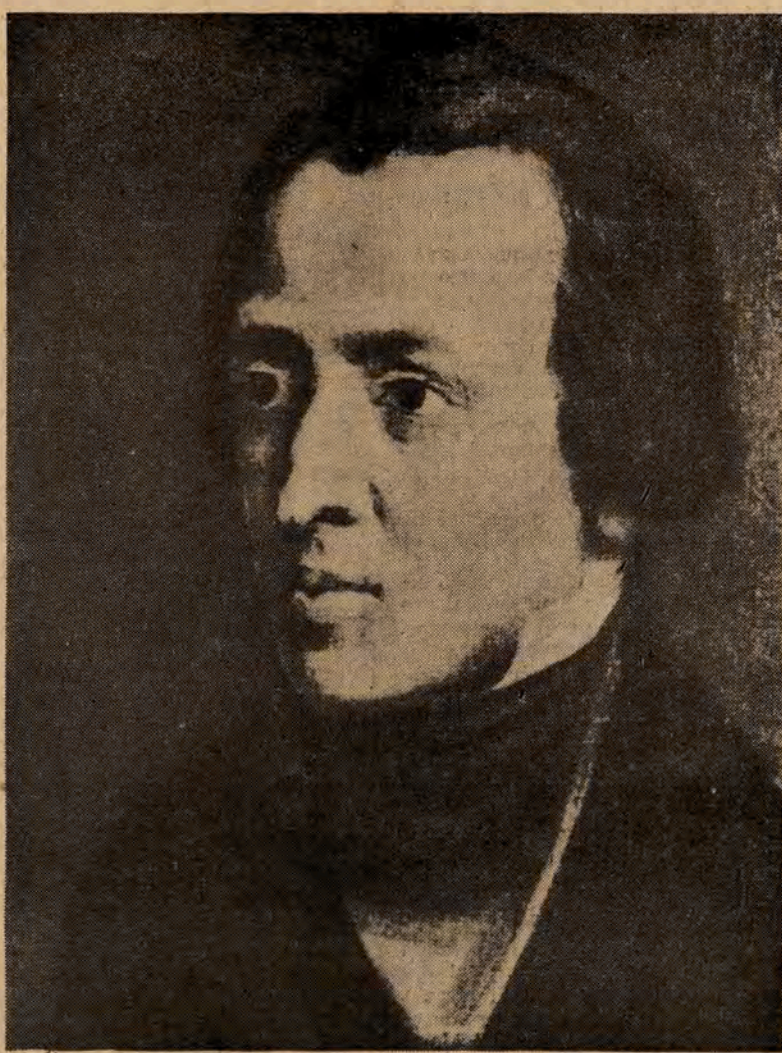
Czasami całą noc nie spał, kiedy powracał z kawiarni rozkłóconej...”

Nie zarzykujemy nic i nie przesadzamy, jeśli powiemy, że właśnie przyjaźń z rewolucjonistą Mochnackim, z saint-simonistą Marylskim, z budowniczym kolei Kolbergiem i innymi rzuciła wiele światła na ideologię kompozytora Chopina, pochodzących z ostatnich lat jego pobytu w kraju.

W kilka lat później, kiedy Chopin dla ratowania swego zdrowia wyjechał z George Sand na Majorce, gdzie opracowywał i przygotowywał do druku Preludia Op. 28, książka, która go najbardziej wówczas interesowała, była „Economie politique” Jean Reynaud’a oraz socjalistyczno-utopijne pisma Pierre Lerroux, zebrane następnie w dwutomowym dziele pt. „De l’humanité, de son principe et de son avenir” (1840). Jean Reynaud, pisarz polityczny i filozof, autor znanego traktatu „Terre et ciel”, przeprowadzał w swoich dziełach — podobnie jak i Lerroux — ideę ustawicznego postępu natury do doskonałości. Doskonałość ta to prawo powszechne, tajemnicza Triada, potrójna harmonia zmysłów, uczucia i rozumu. Z filozofią Reynaud’a i Lerroux zapoznał się Chopin za pośrednictwem George Sand.

W liście z dnia 15 marca 1839 roku pisała ona do swej przyjaciółki Marliani: „Wspomniała nauka jest „Ekonomia polityczna” Reynaud’a. W przeddzień naszego wyjazdu z klasztoru Kartuzów przeczytałam ją całą głośno Chopinowi i Maurycemu (syn George Sand — prz. mój), a oni nie opuścili z niej ani jednego słowa”. Zainteresowanie, z jakim Chopin słuchał tej lektury, to „nieopuszczenie z niej ani jednego słowa”, „dużo mówi o jego skłonnościach ideologicznych. Mówiąc o wrażeniach, jakie wywarły na niego i na Fryderyka wywody Reynaud’a i Lerroux, George Sand pisze dalej: „Sa to niewątpliwie dwaj ludzie przyszłości, a ludzkość, która ich dziś nie zna, wzniesie im pewnego dnia ołtarze”.

Dziela i myśli Pierre Lerroux dostarczyły Chopinowi szczególnie silnych wrażeń. Jean Larnac pisze w wydanej niedawno książce pt. „George Sand révolutionnaire”, że Chopin pod ich wpływem zmienił, nabrał odwagi i z wiarą zaczął patrzeć w przyszłość. „Razem z innymi wygnańcami polskimi tęsknił on stale za dniem, w którym granice jego Ojczyzny otworzą się przed Wolnością”. Do domu swej przyjaciółki wprowadził wówczas Mickiewicza. Niemcewicza i innych i wszyscy razem z wielką pisarką francuską snuli plany sprawiedliwego urzędowania Polski według zasad i idei Pierre Lerroux.



Fryderyk Chopin

Mal. A. Kolberg 1848 r.

Te wspólne zebrania rychło się jednak skończyły. Emigracja polska we Francji była niestęchanie skłócona wewnętrznie, a Chopin był za częstym na to, aby nie zniechęcić się do atmosfery ustawicznych intryg, sporów i czczych, jałowych dysput. Dał on wyraz temu w jednym z listów, pisanych do Delfiny Potockiej, którego daty nie można ustalić i który nigdy nie został jeszcze w całości — jak i inne listy Chopina do Potockiej — opublikowany:

„Omgdaj w klubie byłem. Klóca się tam, jak zawsze, ten z tym, tamten z owym nie gada.

Wtedy się sprzeczali, żeby w gazecie słowo „narodowość” zamienić na „polskość” — jedni prozelitami, drudzy przeciwnikami tej zmiany byli. Potem rzucili się na mnie, że zamiast operę narodową pisać albo symfonię, laskoczę nerwy po salonach i piszę głupie exercisy. Jeżeli nie operę, to nie powinienem nic innego tworzyć, jak tylko mazury, a polonezy. Bo to narodowa polska muzyka. Boże uchowaj, czego nie nagadali!!!

Milczałem, bo jak nie czują, to im polskości palcem w moich nutach nie pokażę. Mickiewicz też z fajką milczał.

Chciałem psikusy wyrzucić, zagrawszy im majufesa w rytmie polonezowym, czulem, popłakałoby się, reszta byłaby ukontentowana, że to narodowe polskie non plus ultra.

Ale mnie nagle chęć do psikusów odeszła, zrobiło się gorzko i smutno, na płacz się zbierało i wyszedłem, nie żegnając się z nikim”.

Robili więc rodacy Chopinowi wymówki, że muzyką swoją „laskocze nerwy po salonach”, ale mało kto z nich wiedział, jaki jest rzeczywisty stosunek Chopina do owych salonów. W liście jego, pisanym w roku 1832 do Dominika Dziewanowskiego, czytamy:

„Wszedłem w pierwsze towarzystwa... stamtąd niby dobry gust wychodzi; zaraz masz większy talent, jeżeli cię w ambasadzie angielskiej albo austriackiej słyszano; zaraz lepiej grasz, jeżeli cię księżna Vaudemont protegowała... Pieć lekcji mam dziś dać; myślisz, że majątek zrobić? Kabryolet więcej kosztuje i białe rękawiczki, bez których nie miałbyś dobrego tonu. Kocham Karlistów, nie cierpię Filipistów, jestem sam rewolucjonistą, a więc z pieniędzy nie sobie nie robię, jeno z przyjaźni, a którą cię blagam i proszę”.

Pisałiśmy już, że pewne fragmenty notatek podróży Chopina wywołują mimowoli analogię z Wielką Improwizacją Mickiewicza. Ogień patriotyzmu płonął w nich jednakowo silnie. Uczucia Chopina były jednak zawsze bardziej zwarte i bardziej zdyscyplinowane. Chopin był bodaj największym realistą wśród wszystkich twórców okresu Romantyzmu polskiego. Kiedy egzaltacja patriotyczna Mickiewicza i Słowackiego przechodziła chwilami w mistycyzm, Chopin był zawsze od tego najzupełniej wolny.

W jednym z listów jego do Delfiny Potockiej pisał on o Mickiewiczu i jego związkach z Towiańskim:

„Gdy trzoda za pastuchem idzie, to rzecz zwyczajna i znana. Ale straszne, gdy duch wielki za pastuchem między bydłem z uwielbieniem bjeżnie.

Mickiewicz jako adept Towiańskiego bardzo mię turbuje.

Ze tamten, zreczny oszust, durniów ofumaniwszy, za sobą ich ciągnie, to śmiać się można z tego, ale Mickiewicz wielki duch

i tęga głowa, jak on tego oszusta nie przejrzy i nie zekpa... Niech reka boska broni, żeby duch tak wielki na obiedzie skończył!”

Chopin był zawsze wielkim wielbicielem talentu i osoby Adama Mickiewicza. Razem z George Sand bywał często na jego wykładach w Collège de France. Widział on w nim jednego z tych, którzy są najwięcej powołani do odegrania wielkiej i przodującej roli w Ojczyźnie. Tym bardziej bolało go więc, gdy widział, że niweczą się jego zamysły. A okres towiańszczyzny był dla Mickiewicza samego również ciężkim okresem. Był to okres pustki duchowej wielkiego poety, pustki trudnej do wypełnienia. Lekarstwem na rozterkę była dla niego częściowo muzyka Fryderyka.

Oto co Chopin pisze o tym do Delfiny Potockiej:

„Znowu Mickiewicza widuję — onegdaj był u mnie.

Zmienił się bardzo, tak sponurzał, że go ani piosenkami naszymi, ani Filonem — jak to dawniej — rozruszać nie mogłem. Przyjdzie i wyjdzie słowa nie przegadawszy. Ty le że wiem po co przychodzi, i zaraz grać siadam, każe wszystkich od drzwi odprawiać, że to niby mam lekcję — bo towarzystwa nie lubi. Ostatnio bardzo długo mu grałem, bojąc się na niego oglądać, a słyszałem, że płacze.

A potem, jak wychodził, sam pomagałem mu się ubrać, hom nie chciał, by go lokaj zapakowanego widział. Mickiewicz za głowę mnie ścisnął najczulej a w czoło mocno pocałował; pierwsze tego wieczoru wymówiwszy słowa:

„Bóg ci zapłać, przeniosłeś mnie...” nie dokończył, bo lzy go znowu za gardło ścisnęły i tak pasując się z tym płaczem, wyszedł”.

Nie dziwny się łom Mickiewicza. Nie był to lzy niemieckie. Życie na emigracji stało się powoli nie do zniesienia. Głęboki patriotyzm nie pozwalał Mickiewiczowi i Chopinowi zrywać ze środowiskiem pol-

skim, a atmosfera tego środowiska nie odpychała im

„Wyrzekanie to nasza wada narodowa. — Pisał kiedyś Chopin do Potockiej — Polak i w raju pretekst znajdzie do wyrzekania. Zawsze wszędzie wszyscy winni, tylko on jeden ma słuszość, on jeden nieszczęśliwa ofiara. Żaden naród nie ma tak jeniałego talentu w wyrzekaniu i oskarżaniu bliźnich jak Polacy. Patrz na piekło emigranckie i coraz mi smutniej, Mickiewicz się ostatnio od nich odsunął. Norwid wyjeżdża, a reszta to się chyba pczagryza”.

W ostatnich latach życia Fryderyka miejsc Warszawskich przyjaciół: Mochnackiego, Marylskiego i innych zajęła przy jego boku George Sand. Chopin spędził z nią razem prawie 10 lat życia. Z bogatych sal dworu „niecierpianego” Ludwika Filipa, gdzie koncertował w styczniu 1838 roku, przeszedł prawie wprost do mieszkania kobiety, która zapoznała go z „Ekonomią polityczną” i z socjalizmem utopijnym. W dziełach Pierre Lerroux znajdował Fryderyk dużo pociechy w cierpieniach, wywołanych nieszczęściami Ojczyzny. Egzaltowana i sentymentalna w miłości, ale trzeźwa w życiu i pełna energii natura George Sand uczyniła ją gorącą apostołką nowych, rewolucyjnych prądów. Chopin był jej przyjacielem i powiernikiem. Jego nacjonalizujący lekko patriotyzm nabrał pod jej wpływem poczucia międzynarodowej wspólnoty. Chciał on, aby powstał nowy i sprawiedliwy świat, wiedząc, że w tym świecie znajdzie się miejsce i dla jego ojczyzny. Nie był mesjanistą. W przeciwieństwie do Mickiewicza, który w swoim czasie głosił z katedry Collège de France idee wielkiej misji dziejowej ludów słowiańskich, Chopin wierzył razem z George Sand, że tylko prości ludzie wszystkich narodów zbudują szczęście Ludzkości. A miłość do prostych ludzi przywodził on ze sobą do Francji z Warszawy, z Polski. Za pośrednictwem swojej przyjaciółki poznał wszystkich postępowych ludzi ówczesnej Francji. Do ludzi, z którymi utrzymywał stosunki, zaliczamy tak wybitnych działaczy rewolucyjnych, jak Louis Blanc, Dominique François Arago, Alexandre Auguste Ledru-Rollin. Wszyscy oni weszli w skład Rządu Tymczasowego w roku 1848. W wypadkach rewolucyjnych tego roku Chopin już jednak nie brał udziału. Było to kilka miesięcy przed śmiercią kompozytora, kiedy stan jego zdrowia był bardzo ciężki. Było to poza tym po jego zerwaniu z George Sand, wywołanym nieporozumieniami czysto osobistymi, a zerwanie to zniechęciło Chopina do życia. Wyjechał z Paryża do Londynu, napisawszy stamtąd do Grzymały:

„Ja już się smuć, ani cieszyć nie umiem; wyczułem się zupełnie, tylko wegetuję i czekam, żeby się przedź wszystko skończyło...” To „wszystko” oznaczało: życie.

Chopin nie brał bezpośredniego udziału w wypadkach roku 1848. Czasem wymknę mu się nawet jakaś ironiczna uwaga na temat ówczesnych wydarzeń. Ale to nie świadczy bynajmniej o jego ideologii.

To, co w życiu Chopina uderza nas przede wszystkim, da się określić słowami: miłość ludu, niechęć do arystokracji i mieszczaństwa, patriotyzm.

To, co nas uderza w Chopinie, jako kompozytorze epoki romantycznej, to jego wielki realizm:

„Czy symfonia ma być tylko dlatego lepsza, że jest wielka?”

U Polaków głowa z sercem rzadko chodzą w parze. Jest tylko głowa bez serca, a częściej serce bez głowy, nic na to rady nie dasz.

Aby serce swoje rozplomić — Polak własnej logiki i rozsądku za podpałkę używa. Ten upał w sercu często do cna mózgi u Polaków wysusza”.

Te gorzkie słowa wymknęły mu się w liście do Delfiny Potockiej, kiedy pisał o opłaniach, jakie rodacy wygłaszają o jego sztuce. A sztuka ta przetrwała do naszych dni, nie ze swej wielkości nie utraciwszy. I nawet sam Chopin bliższy jest chyba naszym czasom, jak współczesnej sobie epoce. Jego głęboki humanitaryzm i realizm jest znamiennym naszych czasów.

Wincenty Jędrkiewicz



„Café” Brzezińskiej przy zbiegu ul. Koziej i Krakowskiego Przedmieścia, gdzie Chopin bywał stałym gościem.

Helena Brodowska

Chłopi hrubieszowscy w Staszicowskim Towarzystwie



Stanisław Staszic
Portret wykonany przez Fr. Sobolewskiego
w 1826.

STASZICOWSKA MYŚL URZĄDZENIA WŁOŚCIAN

Ustawa konstytucyjna Księstwa Warszawskiego stawiając wszystkich obywateli na równi w obliczu prawa dała Staszicowi możność przywłaszczenia klucza hrubieszowskiego na swoje nazwisko. Klucz liczył osiem wsi i część miasta Hrubieszowa. Zakupione wsi wraz z dobrami dworskimi posłużyły Staszicowi do realizacji jego planów reformatorskich w części znanych tylko z okresu Sejmu Czteroletniego.

Zakupiony klucz posiadłości wiejskich i dworskich liczył 9650 ha. Cały ten obszar został podzielony pomiędzy ludność od dawna mieszkającą i nowoprzybyłych na parcele dworskie. Aktem osobistego nadania czynił Staszic chłopów posiadaczami ziemi na prawach wieczystej dzierżawy. Rozparcelowany obszar dworski sprzął zniszczeniu pańszczyzny, w miejsce której wprowadzono opłatę w formie czynszu po dwa złote od morgi. Stali mieszkańcy wsi i posiadacze ziemi od dawna chłopskiej niedługi mieli okres owych opłat. Ze śmiercią ofiarodawcy ziemi zostały one zakończone. Obowiązek opłaty czynszowej pozostał jedynie na gruntach dworskich, na których osiedlili się głównie nowi przybysze, zwani „osadnikami”.

Akt nadania ziemi chłopom i zniesienie pańszczyzny rozszerzył Staszic własnym programem społecznym wysnutym z teorii społeczno-filozoficznej. Fizjokratyczna myśl urzędnicza rolnictwa wiązała się u Staszica z jego socjologiczną teorią społeczeństwa. Według Staszica człowiek „przez towarzyszenie się stan natury doskonali”. Warunkiem więc doskonałości rolnictwa musiał być tworzenie organizacji społecznej. W zorganizowanej społeczności chłopskiej widział Staszic siłę gospodarczego postępu, usamodzielnienia ekonomicznego i społecznego wsi, zrywającej z ustrojem pańszczyźnianym oraz całym systemem ówczesnego życia ludności wiejskiej.

Zadaniom miała sprostać forma organizacji wypracowana z własnej teorii społeczeństwa i doświadczeń wyniesionych z urzędowania wsi przez reformatorów XVIII w. Staszic zaznaczył się bardzo swoistą teorią społeczeństwa jako jednej moralnej istoty, której członkami są obywatele. St. Czarnowski dopatrywał się źródeł tej teorii w bezpośrednim odczuciu moralnego charakteru jedności narodu. Społeczeństwo będące jednością moralną posiada własny byt, własne prawa, własne formy działania. Społeczeństwo to dalekie jest od wszelkiej doskonałości i nie stanowi formy skończonej, podlega ono prawom rozwoju, który powoduje zmiany w stosunkach społecznych.

TOWARZYSTWO I JEGO WŁASNOŚĆ

Zgodnie z powyższym społeczeństwo swoich wsi pragnął Staszic nadać charakter jednej wszechstronnej organizacji, którą nazwał Towarzystwem Rolniczym. Towarzystwo we wsiach Staszica zostało założone w roku nadania chłopom ziemi (1816) jako zaród nowego życia organizacyjnego wsi usamodzielniającej się. Organizację Towarzystwa oparto o chłopskie gospodarstwo rolne. Obok indywidualnych gospodarstw chłopskich utrzymana została własność wspólna Towarzystwa. Własność wspólną stanowiły propinacje, karczmy, młyn, stawy wydzielane na okres czasowy, z których dochód szedł do kasy Towarzystwa. Wspólnym był las, którego nie dzielono między wsi ani jej mieszkańców, lecz oddano powołanemu nadzorowi w ręce, celem roztoczenia opieki nad majątkiem leśnym i utrzymywania go w odpowiedniej kulturze. Własność Towarzystwa stanowiły też ziemie przydzielone dla użytkowania funkcjonariuszy, oraz dla zakładania i prowadzenia społecznych urządzeń wiejskich. W posiadaniu chłopów było 8.825 morgów, oficjalni i

inni dzierżawcy użytkowali 603 morgi, nauczyciele 32 morgi.

Do urządzeń społecznych i gospodarczych należało 376 morgów. Drzewo z lasu szło na budowę i remonty budynków stanowiących własność Towarzystwa, oraz na pomoc w odbudowie zniszczonych przez ogień zabudowań chłopskich. Las był funduszem ubezpieczeniowym dla stowarzyszonych.

Fundusz kasy Towarzystwa pobierany z dzierżaw i opłat czynszowych stanowił kapitał dla prowadzenia społecznych urządzeń wiejskich, na pomoc przy budowie domów murowanych, na zakładanie fabryk oraz na pożyczki dla potrzebujących członków.

W ramach Towarzystwa utrzymywano urządzenie społeczne typu gospodarczego, pomocy społecznej i kształcenia ogólnego. Wszystkie one służyły pomocy stowarzyszonych. W magazynach gromadzonych zsypanych jesienią zboże według miary morgów, obrotując je na pomoc dla pogorzelców i na wypadek zniszczeń od gradu, suszy letniej itp. Z magazynów brano również zboże na zasiew pól dla nowych nauczycieli. Dzięki urządzeniu pomocy społecznej roztoczono w Towarzystwie Hrubieszowskim szeroką akcję opieki nad starcami, kalekami, inwalidami wojennymi i nad dziećmi sierotami. Z funduszu kasy Towarzystwa utrzymywany był doktor, który w każdej potrzebie obowiązany był nieść pomoc chorym. Obok mieszkańca doktora zbudowało Towarzystwo szpital dla chorych i urządziło gabinet lekarski wraz z pomocniczą biblioteką. Ubodzy chorzy otrzymywali w Towarzystwa lekarstwa, które nabywano w aptecę hrubieszowskiej.

Staraniem Towarzystwa zbudowano pięć szkół wiejskich, skąd najzdolniejsze dzieci mogły iść do szkoły wyższego stopnia w Hrubieszowie, którą w znacznym stopniu również subwencjonowało Towarzystwo. Zdolni, a niezamożni i pragnący kończyć studia wyższe mieli w Towarzystwie zapewniony fundusz stypendialny.

Wszystkie urządzenia społeczne i majątek wspólny pozostawały pod jednym kierownictwem i zarządem, stanowiącym władzę Towarzystwa. Na czele stał prezes mianowany przez Staszica i obdarzony prawem dziedzicznej spuścizny na syna najstarszego. Zastępcą prezesa był burmistrz miasta Hrubieszowa, który z radnym miejskim stał na straży interesów ludności miejskiej, należącej do Towarzystwa. Prezes i jego zastępcę wchodził w skład Rady Gospodarczej stanowiącej zbiorową władzę Towarzystwa. Do Rady wchodziło 6-ciu przedstawicieli gromad wioskowych pochodzących z wyborów delegatów wiejskich. Radni obejmowali wszystkie sprawy gospodarcze Towarzystwa, sprawy życia stowarzyszonych i mieli prawo kontroli nad działalnością prezesa oraz funkcjonariuszy. Okres kadencji radnego trwał dwa lata. Przy zmianie radnych przestrzegano zasady, aby ustępowała 1/3 członków w danym roku, inni pozostawali dla utrzymania ciągłości pracy Rady. Przy boku radnych znajdowała się często tzw. „Starszyzna Wioskowa”. Wchodziła do niej najstarszy ojciec, cieszący się zaufaniem członków. Rada Starszyzna była raczej charakteru doradczego, podczas gdy radni mieli prawo podejmowania uchwał i wykonywania prac, mieli też prawo egzekutywy w stosunku do wyłamujących się spod ich zarządzeń i przepisów ustawy Towarzystwa. Organizacja Towarzystwa oparta była o przepisy ustawy własnej, zatwierdzonej w 1822 r. przez władzę państwa.

Towarzystwo Rolnicze stanowiło jednocześnie Gminę wiejską, co wypływało najściślej z jego teorii społeczeństwa, jako jednej całości. Wójtem gminy był prezes, a Rada Gospodarcza była Radą Gminną. Gmina wypełniała wszystkie obowiązki wynikające z ogólnych przepisów administracyjnych państwa. Członkowie Towarzystwa byli jednocześnie członkami gminy, niekiedy wypeł-

niali pojedynczo obowiązki względem państwa, częściej odpowiadali za wypełnienie spraw krajowych, jako jedna zbiorowość społeczna. W gminie Towarzystwa Hrubieszowskiego stosowana była zasada odpowiedzialności zbiorowej. W oparciu o Towarzystwo Rolnicze powstała swoista gmina wiejska, posiadająca samorząd, stałe fundusze i daleko szersze formy działalności społecznej i gospodarczej od gmin powstałych z przepisów krajowych, co miało szczególne znaczenie dla kształtowania postawy grupy chłopów członków Towarzystwa.

CHŁOPI TOWARZYSTWA ROLNICZEGO HRUBIESZOWSKIEGO

Cała grupa chłopów, będąc najliczniejszą w Towarzystwie, nie zajęła w początkowym okresie stanowiska czynnika świadomie kształtującego stosunki i oddziałującego na urządzenie Towarzystwa. Byli oni raczej przyjmującymi dobrodziejstwa wynikające z nowej organizacji i posłusznie spełniającymi polecenia Rady. Sprawa uległa zmianie już po latach 30.

W latach 1860—1874 grupa chłopów wyróżniała się już własną postawą światła, świadomością swoich spraw i instytucji. W pracach Rady Gospodarczej chłopci stawali się coraz bardziej czynni i odpowiedzialni za zadania im przypadające. Często przejawiali własną inicjatywę, szczególnie w sprawach gospodarczych. Wyrobień społeczny i gospodarczy chłopów radnych pozwoliło Radzie Gospodarczej zmienić i rozszerzyć formę pracy. Nie zmniejszając ilości zebrań i narad ogólnych, na których coraz częściej notowano głosy i uwagi chłopów, rada powoływała komisje spośród siebie dla bliższego i wnikliwszego znanajomienia się ze sprawami wnoszonymi na plenum obrad. W komisjach i delegacjach występujący chłopci jako rzeczoznawcy przy szacowaniu ziemi, licytacji dłużników, w sprawie zamiany odpadków leśnych, czy też „dla gruntownego rozpatrzenia sprawy pogorzelców”, dla rozstrzygnięcia spraw spornych o łaki, o wypasanie bydła na terenach leśnych lub też dla zbadania, jak dalece dotknął kogoś z gospodarzy nieurodzaj, jakie meble i sprzęty zakupić dla urządzenia lokali wspólnej użyteczności, z kogo utworzyć radę familijną dla opieki nad osieroconym dzieckiem itp.

Chłopi z poszczególnych gromad powoływani byli coraz częściej do pomocy radnym np.: do oszacowania strat pogorzelców w Bohorodycy w 1861 r. powołano aż 16 chłopów z sąsiednich wsi. Dla spraw szczególnie trudnych i drażliwych powoływano do pomocy radnym „starszyznę wiejską”. Autorytet starszych zapewniał utrzymanie zasady sprawiedliwości przy rozdziale drzewa z poręb leśnych. Zapewniał również zachowanie umiaru obiektywnej oceny postępowania tych, którym zwracano uwagę, dawano ostrzeżenia lub też skazywano na wydalenie z Towarzystwa. Nagany wobec wyłamujących się spod przepisów ustawy i niewywiązujących się z obowiązków kierowano często z zastrzeżeniem wydalenia z Towarzystwa. Ustawiano zaś jedynie za przestępstwa sądowe karane i za opuszczenie się w prowadzeniu gospodarki. Przypadki takie rzadko notowano w Towarzystwie.

Spółród radnych wyróżnił się Michał Kleun, który choć nie zawsze rozważnie wnosił i uwagi zgłaszał, miał jednak postawę własną i odważną. Nie wahał się zgłaszać zastrzeżeń w sprawach, które były już w trybie uchwał zbiorowych, gdy sam miał odmienne zdanie. Zadał on strącenia z pensji prezesa 180 rb tytułem wpłaty na uposażenie wójty, gdy ta z odłączeniem gminy od Towarzystwa została mu odjęta. W latach dużych trudności finansowych Towarzystwa na skutek zniesienia czynszów z miasta i zmniejszenia dochodów z ośrodków przemysłowych Kleun przemawiał za zmniejszeniem ilości funkcjonariuszy

i pracowników zatrudnionych w Towarzystwie.

Własne zdanie, nie zawsze zgodne z opinią większości śmiało wypowiadali Mazur i Jakub Fedoniuk z Jarosławca. Oni zauważyli współzależność płacy funkcjonariuszy Towarzystwa od wysokości opłat czynszu, od ceny zboża, przegłosowali więc obniżenie pensji. Stojąc na straży wydatków Towarzystwa wraz z M. Kleunem spowodowali obniżenie diety dla prezesa na czas jego wyjazdu do Moskwy. Politykę oszczędności przez obniżenie plac funkcjonariuszom popierał też Grzegorz Laskowski z Jarosławca, wnosząc parokrotnie zastrzeżenia pod adresem służby leśnej. Znamienne jest w postawie chłopów to, że interesowali się głównie sprawami wydatków Towarzystwa, w ograniczeniu ich wliczając główny sposób zagwarantowania podstaw rozwojowych instytucji. Innych sposobów zaradzenia trudnościom gospodarczym nie widzieli. Zнали dopiero przyczyny pierwsze, dość zewnętrzne, łatwo dostrzegalne, głębszych nie byli w stanie jeszcze zauważyć. Z właściwą sobie chłopską postawą debatowali nad każdą pozycją wydatkową, zaznaczając tym, że o dobro instytucji występują jak o własne gospodarstwo. Na pomoc swoim zniszczonym od ognia, czy też cierpiącym w chorobie nie szczędzili. Bez sprzeciwu zobowiązywali siebie i wszystkich członków Towarzystwa do składek dla 16 rodzin, którym spały się gospodarstwa, a podczas epidemii cholery donajmowali ludzi do pomocy swojemu doktorowi nie bacząc na to, że przekroczyli ustalony kontyngent na lekarstwa.

Wiele zrozumienia i znajomości zasad walki z epidemią wykazali stowarzyszeni choćby w tym, że odnajmowali izby specjalnie dla izolacji chorych. Zalecenia Rady Opiekuńczej nie szły tak daleko jak akcja w Towarzystwie, gdzie pouczano tylko o sposobach walki z chorobą w domu.

Drugą sprawą, którą z całą skrupulatnością chłopską rozważono, to były zamiany gruntów, łak i rozdziału drzewa z poręb leśnych. Często zaznaczały się w tych sprawach odrębne stanowiska i pojedyncze głosy przeciwnie powziętym uchwałom.

Dużą znajomość stosunków gospodarczych i własne zdanie w zakresie dysponowania dobrami gospodarczymi wnosił na posiedzenia Rady Jan Leszczuk z Dziekanowa. Ze spokojem wypowiadane przez Leszczuka uwagi krytyczne, choćby na temat dzierżawienia propinacji, przekonywały słuchających. Radny Leszczuk miał specjalne zaufanie u stowarzyszonych, często był wysuwanym do różnych komisji i delegacji, był też wybrany przez zgromadzenie gminne na wójta w 1871 r. Uznano i szacunek wyrażano wobec niego przez dopuszczenie syna jego do stypendium przed innymi kandydatami. Ojciec jako zainteresowany usunął się na czas głosowania, gdy była mowa o synu.

Leszczuk miał zaufanie nie tylko u swoich, lecz i u władz reformujących gminę, zyskał opinię wójty „godnego naśladowania”.

Czynną postawę u stowarzyszonych wybrał system pracy Rady Gospodarczej, oparty o zasadę kolegialną. Coraz częściej powoływano członków gromad do opracowywania spraw celem przedłożenia na ogólne posiedzenie Rady.

Regulamin obradowania Rady wymagał obecności wszystkich dla powzięcia prawomocnych uchwał. Nie zawsze radni stawiali się w pełnym komplecie na posiedzenia, toteż w r. 1850 powzięto uchwałę wprowadzenia zastępców.

Doświadczenia pouczyły, ażeby gromadę całą zobowiązywać do uczestniczenia w obradach Rady. W związku z powyższym uchwalono wniosek dopilnowania radnych, aby nie opuszczali zebrań, a jeśli ktoś w danym czasie z poważnych powodów musiał zebrań opuścić, gromada była zobowiązana do wysłania delegata w zastępstwie radnego.

Wynik był taki, że zebrań Rady nie odkładano, a coraz więcej chłopów było zainteresowanych sprawami Towarzystwa.

U wielu radnych zaznaczał się specjalnie ścisły związek z gromadą wiejską, którą reprezentowali. Postawa ta tak dalece wiązała ich, że choć sami już byli przekonani na posiedzeniu Rady o słuszności zdań przeciwników, uchylali się od wyrażania zgody, gdy to nie odpowiadało życzeniom gromady. Wola gromady zobowiązywała radnych do tego stopnia, że uchylali się od podpisywania protokołu z obawy przed „nieprzyjemnościami” od współstowarzyszonych.

Zdarzały się i takie przypadki, że radny podpisywał protokół z zastrzeżeniem, że „wbrew jego stanowisku...”, jak to miało miejsce z radnym Laskowskim. Usamodzielnienie i odwagę zyskiwali chłopcy przy obronie spraw im zleconych.

Chłopi Towarzystwa zyskali przede wszystkim postawę rozważnie gospodarujących i zarządzających dobrem wspólnym. W prowadzeniu urządzeń społecznych nauczyli się współgospodarowania na zasadach pomocy wzajemnej. Umieeli utrzymać zasadę sprawiedliwego rozdziału dochodu społecznego pomiędzy „bardzo pilnie i mniej pilnie potrzebujących”. Obok wyrobień gospodarczych, wyróżniali się także na tle gmin powiatu hrubieszowskiego samodzielnym prowadzeniem placówek pomocy społecznej.



Rada Gospodarcza oraz pracownicy „Towarzystwa Rolniczego ratowania się wspólnie w nieszczęściu”. Fundacja Staszica w Hrubieszowie. Rok 1925.

Jakub Litwin

Uwagi o upowszechnieniu kultury

Zastanawiałem się wielokrotnie nad zagadnieniem tradycji kulturalnej, a ściślej: funkcji społecznej tradycji kulturalnej. Jest to u nas problem wyjątkowo żywy i aktualny. Zasadniczy trzon naszych akcji kulturalnych — obraca się w istocie rzeczy wokół sprawy: jak przekazać możliwie najszerszy zakres kultury narodowej masom ludowym, które były dotąd od kultury niemalże całkowicie odsunięte, lub co najwyżej otrzymywały tylko okruchy, i to okruchy zupełnie pośredniej jakości. Umasowienie i rzeczywiste unarodowienie kultury — jest znamiennym nowym strukturalnym i nowego układu klasowego Polski. Nacjonalizacja kultury jest niewątpliwie rewolucją równie ważną i niezbędną jak nacjonalizacja przemysłu. Umożliwia bowiem nie tylko wyzwanie mas ludowych z zafociania, ciemnoty i zabobonów — lecz jest równocześnie niezbędnym warunkiem wytworzenia się narodu nowego, demokratycznego, socjalistycznego typu. Proletariat — mówi gdzieś Lenin — nie mógłby dokonać rewolucji, jeżeliby się nie stał narodem — oczywiście w innym zupełnie znaczeniu niż narodowa była burżuazja. To jest oczywiście i zapewne nikogo nie trzeba przekonywać o wadze nacjonalizacji kultury. Wydaje mi się jednak, że mówiąc o przekazywaniu tradycji kulturalnej, pomija się drugi człon zagadnienia nacjonalizacji kultury.

Tradycja — to jest bowiem przeszłość; tradycja kulturalna — to jest wytwór określonych warunków społecznych, które były. Ale tradycja przeniesiona w inną, późniejszą epokę traci zwykłą, gubi w wędrówce poprzez epoki, swój kolorystyczny, odrywa się od otoczenia społecznego, które ją zrodziło. Jest to szczególnie charakterystyczne dla literatury i sztuki w ogóle. W literaturze widzi się nie tylko obraz określonych stosunków społecznych, nie tylko typy ludzkie tkwiące w realnych, konkretnych epokach społecznych, ale równocześnie coś, może nie tyle poahisterycznego, ile bezahisterycznego. Tym bardziej, że umiejętność historycznego widzenia świata jest produktem stosunkowo niedawnej przeszłości. Jeszcze przecież mieszczaństwo widziało w historii społecznej przejaw niezmiennego natury ludzkiej, patrzyło na historię poprzez szkielet metafizyki, psychologii, biologii itd. Antymetafizyczne, dialektyczne widzenie

historii to dopiero wytwór rozwiniętego proletariatu. I na dobrą sprawę, zdaje mi się, że dziś jeszcze tylko proletariatu, albo ściślej mówiąc, teoretycy proletariatu — mają patrzeć na historię społeczną historycznie, bez naleciałości idealistycznych i metafizycznych. Problem historycznego widzenia to zarazem problem klasowego widzenia rzeczywistości społecznej.

Drobnomieszczyzna czytająca w 1949 roku „Lalkę” zobaczy w Wokulskim i Rzeckim postaci wciąż żywe. Ich tragedie będą jego tragediami, ich marzenia, wciąż jeszcze jego marzeniami. „Lalka” będzie dla niego lustrem bieżącej rzeczywistości, będzie zapewne bardziej rzeczywistą od rzeczywistości istniejącej. Dajcie mu do przeczytania „Boską Komedie” — a zobaczy w dzisiejszej epoce piekło, czyściec i raj — bez przenośni, dosłownie: piekło, czyściec i raj będą dla niego zapewne bardziej realne niż były dla Dantego. Tego rodzaju widzenie wynika ze społecznej natury tej klasy, albo ściślej — dwóch natur, którymi ją obdarzyła historia: jednej, która ciągnie drobnomieszczańską do walki z wielkim kapitalizmem, drugiej, która złudzeniami i urojeniami wiąże go z kapitalizmem. „Drobnomieszczaństwo — pisze Marks — ubóstwa sprzeczność, gdyż stanowi ona podstawę jego bytu. Jest on tylko wprawioną w działanie sprzecznością społeczną”. („Nędza filozofii” str. 43). Ze sprzeczności wynika się raczej w przeszłość — niż wybiera w przyszłość. Tradycja jest dlań raczej nieruchomym ideałem, niż bazą nowego, postępowego działania.

A jak reaguje na tradycję chłopstwo? Stanowi ono, niewątpliwie bazę rewolucji społecznej, nie wolno jednak zapominać, że jest tylko bazą, współtwórcą — ale nie przywódcą rewolucji. „Mamy je (chłopstwo) pod bokiem, przebywamy z nim razem, wespół z nim budujemy nowe życie, dobrze czy źle, ale razem z nim. Jest to sojusznik, jak sami wiecie, nie bardzo mocny, chłopstwo nie jest tak pewnym sojusznikiem jak proletariatu kapitalistycznie rozwiniętych krajów. Niemniej jednak (wszyscy) jest sojusznikiem, i z wszystkich obecnych sojuszników jest jedynym, który może nam teraz okazać pomoc, otrzymując w zamian naszą pomoc”. (Stalin, Dzieła, t. VII, str. 28).

Z sytuacji społecznej wynika stosunek chłopstwa do tradycji. Chłopi ze znaczną trudnością przełamują zakrepiłą tra-

dycję. „Siła tradycji wiejskiej po dziś dzień stanowi... poważny czynnik... — pisze prof. Chałasiński w „Społeczeństwie i wychowaniu”. — Dążenie do wiedzy budziło się u dziecka chłopskiego pod wpływem wzorów pozawiejskich...” (str. 233). Wchodzenie w kulturę narodową dokonywało się na wsi — drogą oderwania się od społeczności wiejskiej — jak ciekawie wykazuje prof. Chałasiński. Na przykładzie pamiętnika Polcia pokazałem kiedyś („Wiś Nr 30/31, 48 r.) specyficzną, drobnomieszczańską drogę awansu społecznego chłopca — oczywiście za czasów kapitalizmu. Dziś sytuacja jest zmieniona. Awans społeczny chłopstwa dokonuje się pod kierownictwem proletariatu. Nie jest to już oderwanie się jednostek awansujących od wsi — ale awans zbiorowy całej wsi biedniackiej i średniorolnej.

Ale istotne jest w tym procesie, że dokonuje się on pod kierownictwem i przywódcztwem proletariatu.

Jak więc ustosunkuje się proletariatu do tradycji kulturalnej? Z proletariatem sprawa przedstawia się inaczej niż z poprzednimi klasami. Proletariat jest bowiem jedyną klasą, w pełni, całkowicie rewolucyjną. Może on osiągnąć pełny rozwój historyczny tylko poprzez otwartą walkę klasową i rewolucję. Nie może on zaś dokonać rewolucji i socjalistycznych przeobrażeń społecznych nie rewolucjonizując kultury.

W tym miejscu rozpoczyna się drugi człon zagadnienia tradycji kulturalnej. W swej walce o socjalizm proletariatu nie może się poddawać wpływowi innych klas — nawet sojuszników. Wręcz przeciwnie musi on je rewolucjonizować, porywać, wskazywać nowe, wyższe cele walki społecznej. Mobilizowanie sojuszników klasy robotniczej jest jednym z podstawowych warunków realizacji socjalizmu.

I trzeba przyznać, że proletariatu zadanie to wykonuje co najmniej zadawalająco. Wytękanie planów gospodarczych, rozwój współzawodnictwa pracy, akcje polityczne i gospodarcze prowadzone przez robotników — stanowią wystarczający dowód mobilizacyjnej energii proletariatu. W istocie rzeczy proletariatu nie może przejść i nie przejmuje kultury biernie, statycznie. Przejęcie kultury oznacza dla proletariatu tylko fundament dalszej twórczości. Wejście w tradycję kulturalną narodu ozna-

cza dla niego nie inteligenckie dealektowanie się przeszłością, ale uzyskanie możliwości dalszego kontynuowania i rozwijania kultury narodowej. Oczywiście jest zaś, że rozwijać można kulturę tylko rewolucyjnie.

Wydaje mi się jednak (jeśli jestem w błędzie — to na pewno nie ze złej woli), że jedno wiążadło tej szerokiej akcji mobilizacyjnej — jest nieco słabsze. Mianowicie akcja kulturalna, przede wszystkim zaś literacka. Zrobiono w tej kwestii wiele, bardzo wiele i nie ma wątpliwości, że zrobi się jeszcze więcej; ale coś pominięto. Zapomniano, że nie można rozpowszechniać tylko tradycji kulturalnej. Należy dawać też nową, bieżącą, aktualną kulturę. Nową nie tylko w tym sensie, że stworzoną dzisiaj. Ale nową jakościowo. Chodzi tu o dość prostą sprawę. O wydobycie na światło dzienne rewolucyjnej tradycji klasy robotniczej i chłopstwa — tradycji, która pomijała twórczość mieszczańską i szlachecką. O sięgnięcie do aktualnej problematyki pracy robotnika czy chłopca. O wejście w żywy nurt życia narodowego. A ten żywy nurt to nie tylko dzień dzisiejszy. To jest także przeszłość, która zrodziła dzień dzisiejszy, przeszłość rewolucyjna tych klas, które stanowią podstawowy czynnik dzisiejszych czasów.

Przekazywanie tradycji musi być nierozłącznie związane z przekazywaniem żywej twórczości. Ale to jest już zagadnienie planowania twórczości: wydaje mi się, że tę stronę zagadnienia pominięto w akcjach kulturalnych, lub ściślej mówiąc, nie nadano mu takich rozmiarów, jakie powinno było przybrać.

Przekazywanie tradycji kulturalnej musi być nierozłącznie związane ze sprawą tworzenia nowej kultury. W przeciwnym razie, może zawsze grozić niebezpieczeństwo albo archiwizacji kultury, albo eklektyzmu. Kultura aleksandryjska była w tym wyczerpana, że źródła twórczych starożytności Grecji. To była wielka kultura — ale bez rewolucji. Naszym czasem właściwe jest rewolucjonizowanie kultury. Aleksandryzm byłby u nas paradoksem i anachronizmem — więcej — byłby czynnikiem hamującym rozwój społeczny. Wejść w socjalizm nie można tylko z tradycyjną kulturą. I tego nie wolno pomijać. Nie należy też pomijać, jakie znaczenie ma dla różnych klas tradycja kulturalna.

Andrzej Braun

Dyskusja o poezji

Fikcyjne przeciwstawienia

Szan krytyki na odcinku poezji jest u nas groźny. Nie zdołała ona sobie wypracować — wychodząc z jasnych założeń światopoglądowych — jakichś jednolitych i sprawdzalnych kryteriów. Krytycy i redaktorzy, choć w większości marksiści, różnią się w poglądach w poszczególnych wypadkach krańcowo. Toteż nastąpił u nich późniejszy renesans różnych stylów poetyckich, należących zasadniczo do lat dużo wcześniejszych. Pomieszano chronologię. Pod wpływem Przybosa odżyły awangardy w najmłodszym poezji. Dopiero po wojnie poznaliśmy naprawdę Majakowskiego. Zjawiska poetyckie z różnych epok i różnych krajów pojawiły się równocześnie na szpaltach naszych czasopism. W poglądach na poezję i w jej ocenach zapanował całkowity chaos, zupełna dowolność. Krytyka jest albo impresyjna, bełkotliwa, „wachająca kwiatki”, albo stronicza i klikarska. W obu wypadkach ogólnikowa. Ocenia się poezję tylko w imię „smaku”. „To dobry poeta” — słyszy się jeszcze dziś w kołach literackich potoczny sąd, — „to marny poeta”, „to grafoman”. Sens ideologiczny dzieła nikogo nie obchodzi, nikt nie próbuje nawet przełożyć środków formalnych, techniki, stylu autora na język ideologii, choć to jest możliwe i chociaż tylko w ten sposób można klasowo oceniać, rozpatrywać, wyjaśniać i klasyfikować poezję.

Gdybyśmy, jako marksiści, rozpatrywali każdy utwór poetycki z punktu widzenia historycznego, według jego rodowodu społecznego i formalnego, jego wymowy ideologicznej, ocenianej z wyrażonej pozycji klasowej, łatwo byłoby nawet nieprzygotowanemu czytelnikowi ustalić hierarchię, chronologię i ciągłość zjawisk poetyckich ostatnich kilkunastu lat, wysledzić wzajemne związki i wpływy stylów oraz ich wymowę polityczną. Łatwo byłoby w całym gąszczu i bogactwie cech indywidualnych wysledzić typowe cechy mieszczańskie w formie (wyrażające zewnętrznie zahamowania ideologiczne autora i zamarcenie jego światopoglądu artystycznego), przełamywanie tych cech, próby wyszukiwania nowych środków wyrazu dla nowych ideologicznych treści, nie mogących się pomieścić w świecie pojęć mieszczańskich (jak: partia, współzawodnictwo pracy), a więc nie do wyrażenia techniką poezji dotychczasowej, poezji

mieszczańskiej. Wówczas to czytelnik mógłby się obronić pozornym nowinkom formalistycznym kryjącym pod urokiem chwytów ideologicznych. Wtedy jego rozumienie poezji współczesnej uzyskałoby ciągłość, a jego sąd podstawy. I wtedy nie zdarzyłoby się to, co zdarzyło się u nas jeszcze nie tak dawno. Czesław Miłosz wydrukował „Traktat moralny”, jeden z najbardziej nihilistycznych, szkodliwych i wstecznych zarówno ideologicznie jak i formalnie wierszy. Recenzent prasowy „Kuznicy” pokwitował to notatką, że: „Miłosz ogłosił piękny poemat”, a krytycy marksistowskie nabrali wody w usta. Zaniepokoiło to nawet Iwaszkiewicza.

Segregować dotychczasową poezję można tylko na podstawie jej związków z poznanyymi i zakwalifikowanymi historycznie kierunkami poetyckimi — w przeciwnym razie postulaty pod adresem poezji nowej przybierają formę zupełnie osobistych, na niczym nie opartych zachcianek.

Wydaje mi się, że rozpatrując szczegółowo twórczość jakiegokolwiek poety, można nie tylko obnażyć „treściowo” jego postawę ideologiczną, ale także, pamiętając o jedności treści i formy prześledzić na zupełnie formalnych cechach utworu (jak: strofka, rytmika, rym, rodzaj metafory, rekwizyty poetyckie, realia, typ uczuciowości, rodzaje „nastrojów”) przeniknięcie tej postawy ideologicznej w styl, kształt formalny. Mówiąc po prostu: ideologię można wykryć w całym wierszu, i w jego warstwie treściowej, i formalnej. Wiadomo przecież, że treść ideologiczna kształtuje język poetycki, styl. Z drugiej strony pewne style poetyckie przeszłości zostały już wyrażone socjologicznie i historycznie, zostały ocenione z pozycji ideologicznych proletariatu. Wiemy, co to był futurizm, awangarda, surrealizm etc., znamy ich cechy formalne, genezę społeczną tych cech, znamy ich rolę ideologiczną na mapie klasowej wtedy i obecnie.

Zaden poeta nie tworzy całkowicie samistnie. Każdy korzysta z ogromnego dorobku tradycji — nie tylko pisze, ale nawet żyje i czuje w rozmaitych, niezupełnie zamierzonych konwencjach. A więc zasadniczą sprawą jest proces przełamywania przez indywidualność poety i potrzeby czasu przyjętych za punkt

wyjścia, dotychczasowych, historycznie zakwalifikowanych poetyk. Czasem nawet własnych poetyk dotychczas używanych przez pisarza, który rozwijał się w innej sytuacji społecznej.

Najbardziej jaskrawym nieporozumieniem i przykładem naciągania faktów był artykuł W. Wirpszy w nr 51—52 „Odrodzenia”. Autor przeprowadza w nim całkowicie dowolny (w zależności od aktu drukowania czy nie drukowania w „Kuznicy”) podział na „młodych” i „starych”, a wśród tych ostatnich na jakąś „grupę warszawską” i „szkołę Jastruna”. „Grupa warszawska” ma charakterystyczne inne „wzajemne zdania w wierszu”, czym poeci ci „bronią się wszelkimi siłami przed epigonizmem”. Autor zapomina o tym, że paśnyna obrona „wszelkimi siłami” przed epigonizmem, to jeszcze bardzo mało. Chodzi o to: przed epigonizmem w stosunku do kogo i jakimi środkami się broni, no i wreszcie czy się tylko broni, czy tworzy coś rzeczywiście nowego, wynikającego z potrzeby sytuacji. Nie stanowi żadnej zdobyczy wyprowadzanie swych poglądów nie „pod figurą”. Dekalog swoich poglądów politycznych, wypowiedziany tylko jako dekalog poglądów — przez to samo nie jest jeszcze poezją.

Gdyby trudność w powstawaniu poezji politycznej polegała nie na znalezieniu dla niej właściwych metafor, a na pozabawieniu jej wszelkich, obawiam się, że nie byłaby żadną trudnością. Wirpsza zupełnie dowolnie zalicza pewnych poetów do głównego nurtu rozwojowego, osiągniętego „wielkim realizmem”, a innych do pobocznego, grzęznącego na mieliźnie „naturalizmu”. Nie wiadomo, jakim cudem tego „naturalizmu” nauczyli się od „pseudo-kłasyków”. Wystarczy przyrzeć się utworom młodych, ażeby zobaczyć, że różnice i podobieństwa przebiegają zupełnie inaczej. Nie wiem, jak w świetle poetyki Bratnego wyglądałaby poezja Kubiaka, a przecież Wirpsza pakuje ich do jednego worka. Nie wiem także, gdzie w wierszach Radka znaleźć można „naturalizm”. Nie wiem, co to jest w poezji „wielki realizm” i jeżeli reprezentować ma go „Rzecz o trasie W—Z” Kubiaka, to chyba tylko ze względu na rozmiar utworu. Nie wiem, czym jest „naturalizm”, a przyjmując definicję zamieszczoną kiedyś przez Wirpszę

w „Pokoleniu” (*), należałoby uważać go u wielu poetów za rodzaj rezygnacji z wszelkiej poetyki, proste odwołanie się do tematu, przy braku świadomej konstrukcji wiersza.

Nie mam zamiaru pomniejszać osiągnięć młodej poezji. Nie twierdzą, że między młodymi nie ma przedziałów i różnic. Są, na szczęście, i to bardzo zasadnicze. Nie twierdzą również, że tych różnic formalnych nie da się przełożyć na język polityczny, wytłumaczyć je ideologicznymi przyczynami. Można, nawet należy to zrobić. Nie zagajmy się jednak w żywe oczy dla tych czy innych, ubocznych względów — pokrewieństwa ideologicznego, czy formalne i takież różnice przebiegają całkowicie niezależnie od podziału: szkoła „Kuznicy” — grupa warszawska, przebiegają wewnątrz, nieraz wewnątrz dotychczasowej twórczości jednego poety, nieraz wewnątrz jednego jego omu.

Czy na tym polega różnica między poetami starszego pokolenia a młodymi, że starzy są epigonami, a młodzi nie? Przeciwnie — młodzi poeci są jeszcze większymi epigonami, bo chaotycznymi i bez wyboru. Bez dialektycznego wyczucia dystansu, bez zrozumienia specyficznych źródeł powstawania takiej czy innej poezji. Przypatrzmy się większości młodych, jaka tam platanina stylów, zaczerpniętych z różnych krajów, epok, klas. Czy to treść polityczna ich wierszy narzuca im taką formę?

Przyjrzyjmy się poezji Różewicza, najbardziej jednolitego, świadomego i ukształtowanego. Można się zachwycać proletariackim „no” w jego wierszach, ale nie można zbyt pochopnie — jak to zrobił Bratny w swym artykule („Chronologie poetyckie”) — dowodzić, że

(Ciąg dalszy na str. 9)

*) „Naturalizm w poezji występuje wszędzie tam, gdzie rzeczywistość nie zostaje pod ręką artysty formalnie przeorganizowana. Jeśli figuracja poetycka — nie mówię tu już o naturalnym, naturalistycznym opisie — służy tylko do „uplastycznienia” opisywanego przedmiotu, bez żadnej chęci narzucenia jego kształtom zmian emocjonalnie uzasadnionych, spotkamy się z naturalizmem. Naturalizm jest postawą artystycznie bierną. Jest wsteczny”. („Pokolenie” nr 3 (9) 1947 r.).

Jerzy Miller

W P O D R Ó Ż Y

Ilustr. S. Cie-och

C hwilami zrywał się deszcz ze śniegiem. Jeszcze można było spodziewać się nawrotu zimy. Przez rozsunięte drzwi towarowego wagonu widać było pejzaż ubogiej ziemi poplamiony gdzieniegdzie tającą śniegiem. Cały przód pociągu załadowany był ciężkimi działami okrytymi brezentowymi plandekami. Kilkanaście ciężarowych samochodów uzupełniało ładunek. Ostatni wagon zajęty był na pozycję zenitowego dział. Jechałem dziewiątym z rzędu pociągiem w kierunku na Poznań. Do żadnego z poprzednich nie można było się dostać. W drodze wyjątku udawało się to niekiedy kobietom, mniej ze względów wojskowych podejrzany. Wszelki przewóz cywilów był surowo wzbroniony. Pas przyfrontowy obejmował linię kolejową. Jechały właśnie, jak już zdążyłem się z rozmów zorientować, doborowe baterie, którejs z leningradzkich dywizji.

Sztuka było wskoczyć niespostrzeżenie, gdyż na stacji kolejarzy z SOKu i żandarmi wojskowi odpędzali amatorów jazdy na zachód. Tymczasem w poczekalniach i na przejazdach, w pobliżu semaforów wiończyły się tłumy ludzi zdecydowanych na wszystko, śpieszących po latach tułaczki wrócić do swoich wsi i miasteczek. Na ogół większość z czekających była płci męskiej. Tłum czekających nie był podobny do żadnego z tłumów oglądanych w czasie wojny. Przy dużej dozie nagromadzonej w nim złości, przez jej warstwę wyczuwałem znaczne ilości szczęścia. Dowiadywało się o kłopotach płaszczy dwukolorowe chorągiewki. Gromadzono się podług regionów zamieszkania. Poznaniacy z jednych i tych samych dzielnic zgrupowani naradzali się pomiędzy sobą, jak dalej przeprowadzić podróż. Wielu z pasażerów nie doczekawszy się pociągu szło w kierunku szosy, aby tam szukać innych środków lokomocji.

Wagon, do którego szczęśliwie wskoczyłem, okazał się wagonem taborowym. Mieścił w sobie młyn na mąkę. Byli w nim oprócz kilku krzątających się młynarzy jeńcy angielscy. Anglia jest na zachodzie, toteż tamtejsi myśleli przedostać się do ojczyzny, licząc chyba na błyskawiczne zakończenie wojny. Tymczasem przepisy nie pozwalały im jechać z wojskiem. Młyn przez cały czas pracował, starałem się być pomocny Rosjanom, którzy tak szczęśliwie nie zwrócili na mnie uwagi. Narastała warstwa worków, które podwijałem konopnymi sznurami. Trafiałem na żołnierzy nie służących. Przypominałem sobie dzieje mojej podróży ciągnącej się aż do Zawoiu położonej nad czeską granicą przez Kraków, Kielce, Skarżysko do Warszawy i stamtąd pieszą wędrowkę do Kutna. Byłem ostatecznie wyczerpany, bez grosza przy duszy, bez kawałka chleba i zastanawiałem się właśnie, dlaczego to zdecydowałem się na podróż w Poznańskie przed powrotem do Zawoiu, w której pozostawiłem moją matkę w krańcowej nędzy. Wydało mi się niemożliwym wrócić z pustymi rękami do swoich, kiedy przebyłem już tak wielki szmat drogi, zdecydowałem się zrobić cokolwiek, aby zdobyć jedzenie. Wiedziałem, że z Warszawy do Poznania jest bliżej niż z Warszawy do Zawoiu, a przy tym mówiono, że jest tam kraj płynący mlekiem i miodem. Jeśli bym nie miał zdobyć niczego do żarcia, to co do reszty było mi wszystko jedno. W każdym bądź razie strzegłem się jednego tylko, aby nie położyć się na posadzkę którejś ze stacyjek i leżeć tam do ostatecznego wycieńczenia, dopóki ktoś by mnie nie przysparzył, co było mało prawdopodobne, lub dopóki martwego nie wyniosą na drogę odstacyjną tam, gdzie leżeli pomordowani przez Niemców cywile lub żołnierze niemieccy dośnignięci ogniem pepesz, albo żołnierze radzieccy podziurawieni rozrywem pancernaustu.

Aby przypodobać się żołnierzom, już po skończeniu przemiaru próbowałem z nimi zawiązać rozmowę. Lecz nie udawało się to wobec nieznamomości języka rosyjskiego. Byli zdziwieni, tak przynajmniej mi się zdawało, moimi ni w pięć, ni w dziewięć podejmowanymi tematami. Pytałem się o filmy, o ich zdanie o nas, o dziesiątki spraw, jakie mi tylko przyszły na myśl. Następnie starałem się jeszcze — zapytuję sam siebie — dlaczego? — opowiadać wstrząsające, mroźne krew w żyłach historie okrucieństwa hitlerowców. Z nieukrywany smakiem spoglądałem, gdy dwaj pozostali żołnierze rozpalały przedtem piecyk, wzięli się do obierania kartofli. Następnie, kiedy już roztopili w garnuszku smalec, wrzucił kawałki ziemniaków do garnka ze stopionym tłuszczem. Do przygotowanej potrawy dołączyli, jako jeszcze jedno danie, aby nie znudził ich tłuszcz, sporą miednicę kiszzonej kapusty. Odsunąłem się



od piecyka, nie chcąc sprawiać wrażenia człowieka napraszanego się o jedzenie. Na zaproszenie do jadała ucieczyłem się widocznie. Wzruszony do głębi wyjąłem z przegródki plecaka półlitrową butelkę. Żołnierze odrazu dali picie. Jednakże postawiłem na swoim. Wypiliśmy prosto z butelki dzieląc na trzy hausty, ponieważ jeden z żołnierzy stanowczo odmówił wypicia.

Wódka stała się doskonałym katalizatorem podniesienia temperatury dalszych rozmów. Po zjedzeniu ogromnej ilości ziemniaków i kapusty wypiliśmy kolejno z dwóch menażek herbatę. Następnie zgrzani uchylił się lekko drzwi, aby nalykać się trochę chłodniejszego powietrza. Na dworze przestał deszcz padać. Zbliżyła się stacja jeszcze nie oznaczona nazwą polską, lecz o zwalonej tablicy z napisem rosyjskim. W mgnieniu oka wagony zostały wyrożone. Żołnierze porzobili się po zakamarkach stacyjnych gromadząc szczerpy drzewa, gałęzi, kawałeczki węgla i momentalnie wokół pociągu zaczęły wykwitać setki ognisk, wokół których ustawiano menażki z wodą na herbatę. Nasz wagon mieszczący niewielu ludzi był pod tym względem uprzywilejowany. Mimo że jeszcze nie zmierzchało, niebo było wyjątkowo ołowiane, przeto ogniki stawały się wyraźne, cały transport ludzi wyglądał jak jakiś średniowieczny postój wojska po zwycięskiej bitwie.

Mimo, że wagon w którym jechałem, posiadał piecyk, żołnierze angielscy, dotychczas drzemający, nie podeszli, aby zagrzeć sobie herbatę czy konserwy, wzięte w ładnych skórzanych walizkach. Byli zaopatrzeni w specjalne paczki z materiałem łatwopalnym, które podpalali ustawiając przedtem na blaszanej mśeczce, po to aby nie ruszając się z miejsca zagrzeć sobie wiktuały. W ten sposób unikając możliwości kontaktu ze Słowianami nie brudziłi swej godności. Przed usnięciem usłyszałem głos trąbki wzywającej wszystkich porzeczonych żołnierzy do wsiadania. Usnałem z nadzieją, że zdobędę się na przedsięwzięcie zdolne mnie wyprowadzić z obecnego grzęzawiska. Przypomniałem sobie moment wyjścia z Zawoiu, dużej wioski położonej na stokach Babiej Góry. Wyruszyłem

z synem chłopca, u którego czasowo zamieszkiwałem, on po chleb w Miechowskie, ja po chleb w świat. On prowadził wychudłego konia, postanawiając iść lasami, aby go nie dopadli gdzie rekwirujący konie żołnierze. Droga niby to krótsza, lecz ileż móżolniejsza, niż gdybyśmy szli przez Jordanów do autostrady.

Z krótkiej drzemki wyrwał mnie głos jakiegoś cywila. Był to, jak się później okazało, mój kolega z gimnazjum, syn małomiasteczkowego handlarza bydłem. Wyrzucono go właśnie z wagonu, a chciał dalej jechać i prosił, abym się za nim wstał u żołnierzy z mojego wagonu. Gotów jest jechać choćby i na dachu. Wzruszyłem ramionami, następnie Rosjanin zawiadujący młynem, który słyszał słowa Nałęczaka machnął ręką, niech wejdzie! Kazał się nam jednakże przenieść za stos worków i poproszuwać je tak, aby nas ukryły.

Pogoda, której kontury jeszcze chłonałem — wypiękła. Zdało się przeminęła odwilż i na jutro będzie już mroźna pora. Gdy ruszył pociąg, obaj zmożyliśmy się snem. Obudził nas tumult, jaki powstał w naszym wagonie po przyjeździe kontroli. Oficer kazał natychmiast wysiadać jeńcom angielskim. Ten z Anglików, który trochę rozumiał po polsku, sprzeciwił się zarządzeniu oficera. Wywiązała się sprzeczka. Muszą wyjść — tłumaczył wojskowy — taki jest rozkaz. Zresztą punkt zborny jeńców angielskich jest w Warszawie, stąd też samolotami odjeżdżają do Konstanzu, a następnie okrętami do Marsylii. Anglicy jednak, czy też nie zrozumieli tego, co mówił oficer, czy też nie wierzyli mu, nie zgadzali się na dalsze opuszczenie wagonu. Wskazali w stronę, gdzie leżeliśmy, zapytując, czy jest sprawiedliwe pozwalać cywilom na jazdę, a wyrzucać sprzymierzeńców.

Oficer odrazu zawołał w naszym kierunku. Trzeba było wyjść. Podnieśliśmy się ze złością. Wymieniłem znaczące spojrzenia z obsługującymi młyn żołnierzami. Byłem już nieco podreperowany snem i pierwszy raz od wielu miesięcy najedzony. Pociąg sunął wolno, metr za metrem, gdy wyskoczyliśmy. Ujrzałem, że jestem blisko stacji kolejowej. Trudno opisać, co się działo w naszych myślach. Tym-

czasem dochodząc do stacji spostrzegaliśmy znajomy obraz. Z boku dwa kominy cukrowni, jeden co prawda odstrzelony do połowy. Dalej nieco ujrzelismy fragment starej cegielni i płaszczyznę jeszcze okrytego lodem basenu i z przeciwnej strony szosę, po której toczyły się kolumny czarnych, ciężko ładowanych samochodów.

— Wiesz ty co? — Zaczął Nałęczak spluwając ze złością. — Ci Anglicy — ja ich dobrze rozumiem — oni na pewno jadą do Gniezna. Tam był ich obóz, ale nie myśl, że musieli tylko w nim przesiadywać. Chodzili na roboty do bauerów. Ale z chwilą zakończenia się wojny Niemcy o ich przyjaźń zabiegali. Mieli żarcie lepsze niż ktokolwiek z nas.

Przerwałem mu śmiejąc się — chyba z wyjątkiem ciebie! — Jest dość naiwny, bowiem nie czując sarkazmu w tym, co powiedziałem odparł: — O tak! Mnie się całkiem nieźle wiodło, alem się o to musiał dobrze starać. — A dlaczego oni nie jadą do Warszawy — to także jest całkiem proste. Kto dziś ma chęć maszerować na front? Samolotem za kilka godzin byłiby w tej tam, jak się nazywa Konstancji, czy Konstanzu, a następnie za kilka dni w Marsylii, skąd znowu nad Ren i „eine Kugel kam geflogen“. A tymczasem tutaj mają tyle kobiet samotnych i wszystko gotowych więcej jeść ze snobizmu niż z miłości dla nich uczynić. Czemu chata. — Ale, ale przerywam Nałęczakowi, spójrz gdzie jesteśmy! Rzeczywiście dzięki przypadkowi nie pojechalismy dalej, a wysiedliśmy w miejscu swego przeznaczenia. Ja także woląłem wysiąść w Witkowie, gdzie kiedyś mieszkałem, niż szwendać się Bóg wie po jakich kątach.

II

Skończyłem opowiadać. Ale widziałem, że moi słuchacze są zawiedzeni. Podobnie jak wtedy jadę pociągiem w towarowym wagonie. Tylko pogoda jest piękniejsza. Noc gwiazdzista jeszcze dość mroźna. Otuliłem się wyfasowanym przed dwoma dniami szynem. Pierwszy odezwał się Oporski, do wódca wagonu, ubrany w skompletowany mundur.

— Nie wiedzieliśmy, że tak potrafisz opowiadać. Masz bracie karierę w kleszeni. Teatr objazdowy. Tylko, tylko nie rozumiesz, o co tobie chodzi. Lepiej byś nam opowiedział o o kobietach. Tak ładnie, plastycznie. Chociaż z tymi Anglikami to widzi mnie się jakiś nieuczciwy chwyt. Mogli przecież być zdezorientowani. Odrazu dostrzegając w nich złą wolę.

— To przecież nie ja powiedziałem, ale Nałęczak. Ja za jego słowa nie biorę odpowiedzialności.

Wszystcyśmy podeszli teraz do drzwi, bo usłyszeliśmy wyraźne dudnienie frontu. Postój pociągu przedłużał się. Stałismy na jakiejś stacyjce na Pomorzu. Na horyzoncie widać było krzyżujące się ramiona reflektorów, lecz były zbyt daleko, żeby dojrzeć, czy w swoich skrzyżowaniach prowadzą jakiś samolot.

Słuchaj, dlaczego ty tak nudnie opowiadasz, tyłoma szczegółami opatrujesz zdarzenia, których przejrzystość na tym traci? A przy tym, co u diabła ma nas obchodzić. Moglibyśmy lepsze historyjki z własnego życia opowiadać, a jeśli by nam temat zabrakło, to powymyślać. Myśleliśmy, że skończy się przynajmniej jakaś pointa tak drażliwa, że odrażałaby półgodziny pokornego milczenia. — Teraz zabrakł głos Nowak, warszawiak, i rzeczywiście mnie celnie ugodził, bowiem natychmiast zareagowałem odpowiedzią:

— Widzicie — odparłem już z gniewem — zanim dostałem się do wojska, przeszedłem to wszystko. Miałem złożyć do Rosjan, do Anglików, do naszych. Sądziłem, że uczynię wszystko, aby powrócić do Zawoiu. Po to jechałem do Warszawy, do Witkowie. Myślałem często o wojsku. Ale przecież byłbym postąpił nieuczciwie wstępując do armii z dobrej woli. A tak, już jestem ofiarą wojny. Szczęśliwym o tyle, że już nie potrzebuję myśleć o szukaniu chleba. Widzicie! — ciągnąłem dalej dramatycznym głosem — opowiadałem wam tylko początek mojego spotkania z Nałęczakiem, zanim was z nim znalazłem. Zobaczyłem, a raczej usłyszałem, jak ktoś niespokojnie poruszył się w ciemnościach. Zatrzeszczała przycza. Pociąg ruszył. Ponieważ nie zgłaszano protestu, moim głosem dalek mówić.

— A więc po kilkudniowym pobycie w Witkowie byłem już najedzony do syta, ba — obżarty, pierwszy raz od wielu miesięcy. Znalazłem tam grono znajomych Nałęczaka, przy którym kręciłem się w roli pieczeniara. Jedzenie przywozili zamieszkał przy rodzinach polskich żołnierze rosyjscy z frontu. Ale o ile mogłem jeść ile tylko wlażyło, niestety nic nie udało mi się wynieść.



Jan Maria Gisges

NA WYDANIE DZIEŁ MICKIEWICZA

Spłynęła mu wraz z inkaustem
z pióra na papier — tęsknota
jak kropla po liściu spływa,
w której odbijają się szczyty —

Od tego czasu na miejskich placach
pomniki z dłuta powstałe i dni
głowy maczały w mgłach jak w sławie,
póki nie strzaskały swych myśli o bruk —
Wtedy oczy pomników patrzące w kamienne niebo
odeszły z ulic, by w snach
o miłości prześnić niehumanne czas.

Przez małe okienka jak przez przymknięte oczy
przecieka światło i jak złotnik kładzie pył
na słowach wieszczyczych, przez które wiek się przetoczył —
a one złote, złote, pachnące jak jabłko wciąż —

Zarówka spod pułapu oświeśla
palce jak skręcone, wyschłe lyko
odwracające zatuszczzone kartki —
jak swoje dnie —
Z ostatniej strony Mickiewicz rzucił spojrzenie
i zostawił je jak wiersz najpiękniejszy —
urzęczywistniona tęsknota jeszcze drży
jak wzruszona powieka
pod strzechą na skraju wsi,
w świetlicy na przedmieściu.

W naprężonych mięśniach jak w żywym brzoje
peka radość istnienia — jak kasztan w ogniu —
Hej! Ruszamy z posad glob,
by jękiem ludzkim już nie broczył —
A ty ociągający się maruderze —
bacz!
abyś nie przespał,
abyś nie przespał czasu jego rzeźby.



Były momenty, że z goryczą żądałem paczki czy delikatną szynkę, otwierałem wieki w pełnej świadomości faktu, że moja matka dosłownie za górami i rzekami głoduje. Dni jak dni, ciągnęły się w tych godzinach rozterki szczególnie złośliwie i powolnie. Nic lepszego nie mogłem wymyślić nad to, co nie było zbyt uczciwe, ale z czego się nie rozgrzeszyłem już w chwili powzięcia zamiaru. Jedni ze znajomych mieli krewnych w Poznaniu, dokąd ze względu na trwające tam walki było się diabło trudno dostać. Tak samo im jak i mnie wychodziły bokiem góry jedzenia, i ich pragnieniem było przesłanie tam ludziom paczki żywnościowej. Otóż ofiarowałem się zawiązać, nie bacząc na mozoły drogi i niebezpieczeństwo włóczenia się przy froncie. Oczywiście byłem na tyle przytomny, aby paczkę zabrać sobie, ładną, pięciokilową paczkę z masłem, szynką i butelką śliwownicy. Jednakże aby wyjechać, nawet w którąkolwiek stronę, trzeba było mieć pozwolenie na opuszczenie miejsca pobytu, dla mnie ustalonego w Witkowicach. W chwili gdy przyszedłem do magistratu, spostrzegłem, że zgubiłem swoje dokumenty, wszystkie, które posiadałem, a więc Kenkartę. Tak więc zamiast w ogóle wyjechać dostawałem się na posterunek milicji. Na szczęście w miejskich papierach znalazłem moją kartę ewidencyjną. Lecz rocznik mój właśnie był wzywany do wojska, na pobór. Pod konwojem, po

zwróceniu mi paczki, odprowadzono mnie do RKU, skąd już prosił się do koszar. I tak znalazłem się tutaj. Dalej będziemy razem tworzyć opowiadanie. Może któryś z nas zawiesi sztandar na Brandenburgerter.

— A co się stało z Nałęczakiem? — odezwał się uśmiechnięty Oporaki. — Byłem zadowolony z tego pytania, bo właśnie o Nałęczaku chciałem mówić. Zapytanie dowiodło mi, że jestem słuchany.

— Z nim widywałem się codziennie. Mówię głosem pełnym obojętności, nie spiesząc się, głosząc, że teraz właśnie muszę efektownie wypowiedzieć wszystko, co wiem. — Niestety przez cały czas był zajęty. Na ulicy, gdzie był cel jego przeznaczeń — dom własności jego rodziny, wielka, zabruszczona skrzynia sześcienna w środku ogrodu, prawie wielkością równająca się z parkiem, ta ulica była zamknięta dla ruchu cywilnego. Stał na niej sztab któregoś z marszałków północnego frontu. Wszystkie swe chwile użytkowywał Nałęczak na szukanie dróg do stania się do siebie. Aby chociaż móc dotknąć parkanu. Niestety ulica była strzeżona ze wszystkich stron. Próbowali także spoglądać nań z posesji: miejskiej rzeźni, położonej o paręset metrów od jego ulicy. To jedno co mu się udało. Na tych i temu podobnych staraniach zbiegł tydzień. Dopiero ostatniego dnia mojej wolności coś się na tamtej ulicy

zmieniło. Ujrzelśmy pokasowane drogi, wskazy. W miasteczku zmałał ruch. Ubyło wielu wojskowych. Razem ze mną podszedł aż pod sam dom. Gdy tylko otworzył furtkę, drogę mu zagroził Rosjanin bardzo, jak sobie przypominam rozchełstany, tylko w ko-szuli, nie bacząc na chłód wczesnej godziny. — A czego on tu chce? — Nałęczak wyjął z portfela dokument, dowodzący, iż on jest właścicielem tejże posesji. I z dumą wy-czuwalną pod tokiem jego słów powiedział: — To mój dom! — Rosjanin zaśmiał się całkiem, jak mnie się wydało — życzliwie. — Co ty z nim będziesz obecnie robił? — Nałęczak wyuczonym głosem dodaje, również zdziwiony obrotem rozmowy: — Będę mieszkał? — Tu, koniecznie tu? A co będziesz robił z tym pokojem? — odprowadził żołnierz. — Nn — to moje! — w ten sposób, nie posuwając się naprzód rozmawiali. Wyczułem, że Rosjanin stoi sobie z Nałęczą żarty, co przecię z kolei i na mnie spadało. Właśnie z drzwi wyszedł drugi wojak z pagonami, oznaczonymi rangą podoficera. — Starszy-na! — krzyknął ten, który stał przy nas. — Starszy-na, idy w czortu, grażdanin przyszoł! — Nie czekając końca owej rozmowy zawróciłem i już od tamtego czasu nie ujrzałem w Witkowicach Nałęczaka. I we mnie wtedy coś się z gruntu odmieniło.

— To już koniec? Zapytał Nowak. — Pra-

wie koniec! — odpowiedziałem z flegmą jeszcze się wahając. Jedziemy w kierunku na Tczew pociągami o jednolitych wagonach, zapelnionych bezbarwną masą żołnierzy, jeszcze niekoniecznie odpowiednio ubranych. Nas, którzyśmy byli w partyzantce, biorą na front bez przeszkolenia. Innych niekiedy także. Jakoś damy sobie radę. Będziemy chyba tylko wykańczać front.

— We mnie — mówię dalej — dojrzała już przedtem chęć rzucenia tego wszystkiego, jeszcze przed zatrzymaniem mnie na milicji. Bo gdybym nie żywił takiego postanowienia, to i teraz, czy nawet później mógłbym z powodzeniem wiać. Lecz przypadek sam zacydował. Trudno mnie nawet przypuścić, że mógłbym teraz robić coś innego. Kilku kolegów słuchało mnie jeszcze z zainteresowaniem. — Wiecie co — dodałem — a tę paczkę na dowód prawdziwości moich słów ofiaruję do podziału. — Oporaki! — Naprawdę pierwszy, byle nie za dużo! Nie jest tak, jak powinno być — powiedział Nowak, warzawiak, jeden z tych, co nie zadzierają z powodu swej stołeczności nosa do góry. Wszystkiemu do-brzy Niemcy winni.

Jeszcze raz odezwałem się już po skończeniu uczty. — A wiecie co z Nałęczakiem? On jedzie z nami, niestety nie w naszym wago-

nie. Jerzy Miller

Mieczysława Buczkówna

Nieźrównany Pan Czao-Tsyjüe^{*)}

Nieźrównany Pan Czao-Tsyjüe — to student uniwersytetu pekińskiego, pocztowy leń, syn zamożnego chłopca, który, jak całe rzesze studentów i inteligencji chińskiej, zagubił się wśród szybkich przemian społecznych i politycznych Chin po wojnie światowej.

Trudno ustalić czas historyczny powieści, nie znajdujemy tu żadnego faktu, żadnego nazwiska ze świata polityki, które pozwoliłoby określić dokładnie, w jakich latach dzieje się akcja.

Jednak atmosfera życia Pekinu, stosunki panujące na uniwersytecie, silne wpływy amerykańskie, postać komunisty-zamachowca Li-Kingszuna pozwala przypuszczać, że są to lata przed rokiem 1938, gdy stolica została przeniesiona do Nankinu.

Czao-Tsyjüe, tak pobłażliwie potraktowany przez autora, jest przedstawicielem tego odłamu młodzieży chińskiej, która od „zamorskich diabłów”, jak mówi się tam o cudzoziemcach, przyjęła sposób życia, która zdobywając nie tylko chińską, ale z Europy przyniesioną wiedzę, staje zbuntowana przeciw konserwatywizmowi własnego narodu, a nieufna i bezradna wobec zagadnień, jakie niesie nauka i obca kultura.

Nasz Czao, gdy ma kupić nowe ubranie, decyduje się na ubiór chiński, rozważa przy tym walory cywilizacji wschodniej i zachodniej.

Zachodnia streszcza się dla niego w kilku słowach — „bogactwo, zbytek, potęga”. Chińska zaś to — „wieczne głodowanie, niemiłe, szkalne dno”. Jeżeli niedojadanie, noszenie lachmanów i wegetacja w ruderach są nieznane jeżdżącym samochodami, mieszkającym w zagranicznych kamienicach i żyjącym beztrudno cudzoziemcom, to na co mamy jeszcze czekać! — myśli Czao. Choćby z punktu widzenia obrony godności narodowej, dla uratowania wschodniej cywilizacji przed całkowitą zagładą, staje się konieczne wysuniecie na pierwszy plan cech zewnętrznych. To jest po prostu podstawa prawdziwego patriotyzmu! Dalej, tego rodzaju postępowanie jest najekonomiczniejszą drogą zdobycia oświecenia: przekleci cudzoziemcy wynajdują koleje, dobra. A my sobie będziemy nią jeździć. Oni wynajdują lampy gazowe, dobra. A my sobie będziemy nimi świecić. Czymże oni wtedy będą się mogli szczycić? Cokolwiek zamorskie diable wymyślą, my to będziemy stosowali, niech się oni dzień i noc trudzą, a my przy mah-jongu będziemy tylko czekać. W ten sposób cudzoziemcy staną się intelektualnie naszymi niewolnikami.

Nie ma nic prostszego, jak zreformować Chiny: jeden prezydent wyda dekret z nakazem dla wszystkich jedzenia po cudzoziemsku, ubierania się po cudzoziemsku i tańczenia parami po cudzoziemsku! To starczy, żeby imponować tak samo jak cudzoziemcy. Co się zaś tyczy postępu, studiów, wynalazków etc., kto ma czas, niech się tym zajmuje!

Oto uproszczona metoda reform naszego Czao-Tsyjü.

Pekin w owym czasie jest przede wszystkim kulturalną stolicą Chin, modernizacja szkolnictwa sprawila, że miastem uczelni ośrodkiem uniwersyteckim, jest miastem wciągającym młodzież. Większość młodzieży chińskiej przychodzi na uczelnie z nadzieją, że jest to najlepsza droga do kariery, nieznaczna tylko jej część rozumie, że nauka stać się może orężem przeciw imperialistycznej opresji, narzędziem przebudowy społecznej.

Młodzież bierze udział w życiu politycznym i kulturalnym, żąda reformy studiów. Oczywiście jednolici tylko zdają sobie sprawę, w jakim kierunku należałoby zmienić programy uczelni chińskich. Reszta buntuje się — urządza pogromy. Nasz Czao-Tsyjüe jest jednym

z prowodyrów takiego pogromu, własnymi rekami wiąże rektora, bije urzędników uniwersyteckich i profesorów.

Komiczne zebranie studentów, któremu przewodniczy Czao, obraduje w sprawie mającego nastąpić strajku uniwersyteckiego. Padają słowa protestu przeciw metodom egzaminacyjnym, przeciw starym profesorom.

„Wszyscy — woła student przygotowanego kursu uniwersyteckiego, Oujang — rektor, profesorowie, urzędnicy, boja się lania. Chęć egzaminów — dostaną lanie!”

„Czy domyślacie się — z jakiego on pochodzi środowiska? — dodaje drugi. — Jego ojciec, sprzedawał pióro z wózka!”

To decyduje. Wszyscy jak jeden mąż uchwalają rezolucję, streszczającą się w jednym słowie: „bić!”

Nie tylko jednak sprawy uniwersyteckie zajmują studentów. Pociągają ich polityka. Nieliczni jednak biorą w niej czynny udział. Zainteresowania ograniczają się przeważnie do krzykliwych dyskusji. Najchętniej dyskutuje się przy wódce, która jest godnym napojem dekadentki i nieco młodzieży.

Autor książki Lao-sze — to ukrywający się pod tym pseudonimem znany powieściopisarz chiński — Szu Sze-ju. Napisał on kilkanaście powieści poświęconych przeważnie życiu Pekinu. Urodził się tam i wychował. Gdy oprowadza nas po barwnych ulicach stolicy, gdy podpatruje i podśmiewa studentów, chętnie i często odwiedzających miejscowe restauracje i kawiarnie, gdy oprowadza nas po starożytnym Pekinie, gdzie święta religijna wabią urokiem obrzędów — czujemy, że przy umiłowaniu tradycji bacznie obserwuje przenikanie wpływów cywilizacji europejskiej w życie ludu chińskiego. Odsłania bezlitośnie śmieszność i naiwność, z jaką naród przyjmuje obce wpływy, powierzchownie, pośpiesznie, przy zachowaniu starego zwyczaju, różnic klasowych, które są tak widoczne, w stosunku studentów do posługacza hotelowego, riksarsza, czy nawet rektora uniwersytetu, który jest „tylko synem sprzedawcy pióra... domokrążcy”.

Wprowadza nas na zebranie „Związku Równouprawnienia Kobiet”, tak żywo przypominające sceny z „Emancypantek” Prusa.

Prócz komicznej strony, z jakiej ukazuje nam ruch emancypacyjny kobiet, jakie poważnie i życzliwie wprowadza do powieści postać studentki, panny Wang, która jest przedmiotem miłości Czao-Tsyjü.

Sprawa życia uczuciowego Czao, niezrozumiała może dla polskiego czytelnika, jest jeszcze jednym z żywych dokumentów epoki, jakich wiele znajdujemy w powieści.

Zwyczaj życia erotycznego, w których młodzi ludzie pobierają się nie znając się prawie wcale, posłuszni wyborowi rodziców, ulegli pośrednikom, którzy decydują za nich o wyborze — te zwyczaje trudniej niż inne ustępują swobodzie i naturalności, jaką przynosi kultura europejska.

Czao nie może się zdobyć na to, by samodzielnie, wprost szukać porozumienia z ukochaną. Posługuje się pośrednictwem kolegów, z którymi rozważa swoje uczucie, którzy ułatwiają mu lub utrudniają wymarzoną znajomość.

Autor z nieznaczna ironią, pobłażliwym uśmiechem odsłania prywatne życie bohatera książki i jego przyjaciół.

Oto jesteśmy w „Niebiańskim Tarasie” — stancji studenckiej, jak głosi napis u drzwi wejściowych.

W rzeczywistości jest to podrzędny hotelik, jego mieszkańcy — okupują zupełną swobodę braku komfortu, który nie razi ich przecież.

„Gdy komuś przychodzi chęć pograć sobie w mah-jonga (gra chińska), gospodarz sprawadza dla ożywienia zabawy parę panienek „pięknych jak perły i świeżych jak kwiaty”; dla spragnionych znajduje się zawsze przysmuglowany z północy w świąskim pęcherzu z oryginalnymi pieczęciami, autentyczny samogon”.

Największym poważaniem wśród mieszkańców Niebiańskiego Tarasu cieszy się Czao-Tsyjüe. Z tytułu swojej dobroduszości, wszechstronnych uzdolnień — jest aktorem amatorskich przedstawień, czołowym sportsmenem, pierwszym w studenckiej drużynie piłkarskiej, a przede wszystkim synem zamożnych rodziców. Ma zawsze pieniądze.

Ulubieńcem wszystkich jest młody Oujang — modniś, spryciarz, który żyje z wygranych w karty i nieznanych bliżej spekulacji.

Reszta — to studenci ekonomii, którzy liczą na posadę w banku i wysokie stanowiska, słuchacze filozofii i literatury, domorośli poeci, pieknoduchy.

W cieniu stoi inteligentny, student-rewolu-cjonista Li-Kingszun, poważany przez jednych, nienawidzony przez drugich. Przez cały czas nie o nim prawie nie wiemy, dopiero pod koniec powieści demaskuje się zamachem na generała, Komendanta Okręgu Stołeczne-

go, który licznymi wyrokami śmierci terroryzuje chiński ruch ludowy.

Czy Li-Kingszun działa w porozumieniu z jakąś organizacją? Nie wiemy. Komunikat w gazecie opisujący przebieg procesu stwierdza, że wyrotowiec Li-Kingszun, zostający na usługach Partii Komunistycznej, za usiłowania zabójstwa na osobie Komendanta Okręgu został stawiony przed sąd wojenny.

Jego poprzednie rozmowy z kolegami, w których wytyka im nierobstwo, niezdyscyplinowaną postawę wobec życia społecznego budzą tylko drażniący niepokój i nieokreśloną chęć działania, która u Czao-Tsyjü wyraża się krótkotrwałą pracą korepetytora, potem nagłym wybuchem zamiłowań aktorskich, które wiedną po pierwszych występach. Dopiero gdy koledzy przychodzą odwiedzić uwięzionego, słuchają, jak w prostych i szlachetnych słowach wyjaśnia motyw swego postępowania, jak bohaterko, skromnie i bez żalu ofiarowuje życie dla sprawy, którą pojmują teraz dopiero. Jego nawoływania, by poszli za nim, nie zostaną bez echa.

Już Czao, wygodny, beztroski, leniwy Czao z narażeniem życia podejmuje zadanie powierzone mu przez Li-Kingszuna. Przyjaciel Czao, urzędnik magistratu wdał się w pertraktację z Amerykanami, którzy chcą zburzyć zabytkowy „Oltarz Nieba” — gdyż potrzebne jest miejsce na budowę nowoczesnego budynku. Urzędnika zgnębia wysoka suma, jaką obiecują za przeprowadzenie tej transakcji, otwiera mu to zresztą drogę do kariery urzędniczej.

Nie rozumie polityki amerykańskiej, która niszczyć starożytne zabytki, planowo niszczy kulturę chińską. Czao-Tsyjüe zrozumiał to, przekonany go słowa Li-Kingszuna:

„Naród ma bez wątpienia swą dumę historyczną. Ta dumą związana jest w jego sercu z jego dawną potęgą, a najwspanialsze jej pomniki podniecają te uczucia. Nasi rodacy nie mają poczucia narodowego, dlatego też, kiedy w roku 1860 sprzymierzone wojska francusko-angielskie spaliły Pałac Letni, a w r. 1900 Niemcy zrabowali starożytne przyrządy z Obserwatorium Astronomicznego, myślny na to nie zwrócili wcale uwagi. Co to za okropna hańba! Zobaczyć, jak te rzeczy przedstawiają się za granicą i czy cudzoziemcy mogą spoglądać na nas bez pogardy? Później mi zapytać się ciebie, czy gdybyśmy podpalili angielskie zabytki, Anglicy nie poświęciłiby życia w ich obronie? Nawet niekoniecznie Anglicy, nie ma chyba żadnego narodu na świecie, który by zniósł taką hańbę. Dlatego też teraz, przy całej naszej niechęci do przelewów krwi powinniśmy działać. Najważniejszą sprawą dzisiaj jest wzbudzić patriotyzm u naszych rodaków i rozwinąć poczucie godności narodowej. Jeżeli nie będzie w Chinach ludzi narodowo uświadomionych, to Chińczycy będą podobni do dzikich zbóż: bujnie się zazielenią, ale ziarna z nich nie będzie!”

Czao-Tsyjüe jest poruszony tym, co usłyszał. Postanawia rozprawić się ze zdrajcą. Jeżeli nie ulegnie, gotów go zabić. Gdy prowadził gwałtowną rozmowę z niezupełnie rozumiejącym go przyjacielem, grożąc mu śmiercią, przychodzi wiadomość o aresztowaniu Li-Kingszuna. Obydwa udają się do więzienia. Tam, nieprzekonany przez zapalczywego Czao, obiecuje przyjaciel zerwanie pertraktacji, obiecuje nowe życie. Tak wielki jest urok rewolucjonisty-patrioty.

Sprawa, za którą Li-Kingszun dobrowolnie oddaje życie, sprawa wolności ludu chińskiego przejmie i wstrząsa umysłami jego przyjaciół studentów. O ile cała powieść jest dość surową krytyką i satyrą na życie studentów, o ile ludzie i wypadki są przedstawione z bezlitosnym realizmem w brudnym i sennym Pekinie, bawią nas i śmieszą, o tyle epizod końcowy jest pełnym nadziei w postępowe siły młodzieży głosem chińskiego literata i społecznika.

Andrzej Braun

*) Lao-Sze. Nieźrównany pan Czao-Tsyjüe. T. T. Witold Jabłoński „Wiedza”, 1948.

Fikcyjne przeciwstawienia

(Dokończenie ze str. 7)

formalnie Różewicz jest całkowicie współczesny, a tylko treściowo zapóźniony. Nie ma formy dobrej na wyrost. Forma Różewicza jest dobra dla treści jego wierszy, bo ta treść ją ukształtowała. Ona powstała w toku wyrażania takich właśnie treści, jako ich słowno-literacki wyraz. Owszem, język Różewicza jest prosty i zwiezły, ale jest to język moralisty, a nie człowieka walki. I takim się nam Różewicz w wierszach ukazuje.

Dalej sprawa „języka prozy” u Różewicza. Równie prozaicznego dialogu używał w wierszach T. S. Eliot — poeta pesymizmu (zwłaszcza w pierwszym okresie swej twórczości, gdy obserwuje świat od zewnątrz, od strony gestu, obrazu). U niego służyło to wstecznej ideologii. O Różewiczu tego nie twierdzę, ale jak tu odrywać pewną formalną cechę i dawać jej autonomiczny i wszechzastosowalny sens polityczny na wyrost? Innym językiem używanym przez Różewicza jest język pojęć moralnych, nazywanie cnot, bardzo przypominające Eluarda. U francuskiego poety droga od formalistycznego surrealizmu, atomizacji języka, zmusiła go do elementarnego odbudowania tegoż języka, do prostych nazw kwia-

tów, dzieci, cnot. Należy pamiętać, że Różewicz przechodził podobną drogę od formalistycznych wpływów Przybosa.

Nie świąć czy to przeciwko autorowi „Nie-pokoju”. Wprost przeciwnie, mówi o dużej świadomości samego siebie, no i szczerości. Gorzej, jeżeli do postawy współczesnego, polskiego lewicowca dopótyczy się kostiumu od Majakowskiego, czy Pablo Nerudy, Peipera, czy Jostenina — bo to dowodzi albo nieświadomości, albo nieszczerości. W takim wypadku już wolę wyżej wzmiankowany „naturalizm”.

W ten sam sposób należałoby najpierw zbadać stosunek Kubiaka do tuwimowskiego nurtu „Skamandra” i wszystkie zanieczyszczenia, sprawę zw. Bratnego z Peiperem i Majakowskim (zwłaszcza biorąc pod uwagę teoretyczne wypowiedzi autora „15 Batalionów”) Woroszyłskiego do Bruno Jasińskiego etc., a dopiero potem stwierdzić, czy należał się im te laury, które sobie tak szybko pod czerwonym sztandarem na głowę kładą. Ale to bardzo długa praca i do kogo innego należąca.

I. Łaptiew

TRAGEDIA AMERYKAŃSKICH FARMERÓW*)

Prawidłowość kapitalistycznej ewolucji rolnictwa odkryta w pracach Lenina otrzymała swoje pełne potwierdzenie we wszystkich krajach kapitalistycznych. Klasyczna praca Lenina o rozwoju kapitalizmu w gospodarstwie wiejskim USA jest naukową zasadą, kluczem do rozumienia procesu rozwoju rolnictwa kapitalistycznego i w tej liczbie farmerów amerykańskich.

Pogorszenie położenia drobnych farmerów stało się na tyle oczywiste, że prasa burżuazyjna nie jest w stanie tego ukryć. Publicysta amerykański Mc. Williams, autor książki „Ill Fares the Land” (Biedująca ziemia) (Boston 1944), który w roku 1939 był przewodniczącym oddziału emigracji i mieszkań — organizacji państwowej stanu Kalifornia — i którego wcale nie można podejrzewać o sympatię do marksizmu, w swojej książce zmuszony był przyznać: „Wiele lat temu Lenin mówił o przemianach zachodzących w rolnictwie Stanów Zjednoczonych powiedział, że „badacze jak gdyby nie podejrzewali tego jak ogromna nędza, ucisk ukrywają się za tymi szablonowymi cyframi”. Obecnie nędza, uciskowej i ruinie nie można ani zaprzeczyć, ani ich ignorować”.

Masowa ruina farmerów amerykańskich, szczególnie wzmożona w czasie drugiej wojny światowej w związku z kryzysem ekonomicznym, przybrała tak wielkie rozmiary, że rząd USA w celu „uspokojenia” opinii publicznej zmuszony był zorganizować specjalną komisję dla zbadania położenia farmerów. W książce Johna Steinbecka „Grona gniewu” jaskrawymi barwami została odmalowana tragedia zrujnowanego amerykańskiego farmera na przykładzie rodziny Joadów z Kalifornii. „Joedy” stało się nazwą pospolitą dla wszystkich drobnych farmerów amerykańskich wygnanych z ziemi, zamieniających się w armię bezrobotnych wędrujących w charakterze bezdomnych robotników po kraju w poszukiwaniu pracy i kawałka chleba.

Rządowe komisje senatorów La Folleta (1939 r.) i Tolana (1940) utworzone dla zbadania „problemu migrantów”, tj. tułających się farmerów, odsłoniły wstrząsające fakty masowej ekspropriacji drobnych farmerów amerykańskich, odrodzenie niewolniczo-feudalnych form ich eksploatacji, najstraszniejszej nędzy, wymierania i degradacji kultury. Niezależnie od subiektywnego nastawienia członków rządowych komisji zebrane przez nich materiały przekształciły się w akt oskarżenia amerykańskiego imperializmu, rozwiały mit o „rozkwicie” drobnych farmerów, zerwały zasłonę z obłudnej demokracji burżuazyjnej.

Ewolucja rolnictwa kapitalistycznego charakteryzuje się tym, że w pogoni za zwiększonym zyskiem kapitaliści stwarzają ciasto wyspecjalizowane, jednostronnie rozwinięte gospodarstwa z wyraźnie zarysowaną sezonowością produkcji. Odpowiednio do tego gospodarstwa takie wymagają rezerw, zbędnej siły roboczej w rodzaju robotnika rolnego z działką — tej typowej figury najemnego robotnika rolnego wszystkich krajów kapitalistycznych.

„Migranci rolni” przedstawiają właśnie tę formę przeludnienia agrarnego. „W ciągu dwóch lat — pisze Mc Williams — najemcy dążą do podtrzymania ogromnych rezerw bezrobotnych, które by dawały im możliwość zaspakajania sezonowych potrzeb siły roboczej” (str. 37).

Migranci, którzy przybyli do Kalifornii, o której reklama amerykańska głosi, że jest „sadem z bajki” zazwyczaj osiedlają się na nie wartych niezdatnych do uprawy ziemiach lub wokół wspólnych śmietników. Karłowata działka jałowej ziemi kosztuje nie mniej niż 200 dolarów. Powstają osiedla liczące od 4 do 8 tysięcy mieszkańców. Tutaj można znaleźć różnorakie typy „mieszkań” poczynając od baraków, domków przenośnych, budynków z jednospadowym dachem, lepiank i kończąc na małych domkach 1—2 pokojowych. W tych dziurach brak jest elementarnych warunków sanitarnych. Woda kosztuje często tyle, ile migrant musi płacić każdego miesiąca za swoją działkę. Utrzymanie ogrodu jest prawie niemożliwe ze względu na nie nadający się do tego celu grunt.

Proletaryzacja i upadek farmerów amerykańskich przyjęły szczególnie ostre formy na byłym niewolniczym południu, w bawelińskich okęgach Teksasu i Oklahamy. Ekspropriacji samodzielnych farmerów towarzyszy rozszerzanie się feudalno-pańszczyźnianych form eksploatacji... Kapitalistyczna uprawa oraz wprowadzenie mechanizacji zasiewów, pielęgnacji, a ostatnio i zbioru powoli u mniejsza znaczenie pracy robotnika-migranta.

Opis życia robotników rolnych w Teksasie dokonany przez Mc Williamsa przypomina najczarniejsze sceny z czasów niewolnictwa.

Obraz „niewolnictwa industrialnego” jest charakterystyczny nie tylko dla Teksasu. Nie ma takiego zakątka w Stanach Zjednoczonych, gdzieby nie panowali wielcy przedsiębiorcy eksploatujący masy najemnych robotników rolnych, którzy żyją w barbarzyńskich warunkach bytowania. Takie jest położenie na buraczanych plantacjach w Kolorado, na plantacjach roślin cebulowych w Ohio, na plantacjach pomidorowych w Indianie, na

plantacjach figi na Florydzie, owocowych w który odbywał się i odbywa w przemyśle. New Jersey. Wszędzie postępuje masowa ekspropriacja drobnych i średnich farmerów, którą słusznie porównują z ogradzaniem ziemi w Anglii za czasów tzw. pierwotnej akumulacji.

Koncentracja przemysłu rolnego i przetworstwa przetwórczych doprowadziła do powstania dużych monopolów.

Wielkie organizacje monopolistyczne istnieją we wszystkich gałęziach przemysłu rolnego. Rejestr ich można znacznie rozszerzyć. Np. jednym z większych zrzeszeń wytwórczych i zbytu mleka naturalnego, sera mrożonego jest „National Dairy Product Corporation”, na którego rachunek należy zapisać rozprowadzenie 30—50 proc. mleka naturalnego w szeregu wielkich miast USA. Zgodnie z danymi Biura Dochodów Wewnętrznych cztery wielkie zrzeszenia, w tej liczbie „Swift” i „Armur”, kontrolują 45 proc. produkcji przemysłu mięsnego, skupiając w swoich rękach wszystkie stadia produkcji poczynając od zakupu bydła u farmerów do sprzedaży detalicznej gotowych wyrobów. Monopole kapitalistyczne zdobywają gospodarstwa wiejskie na drodze pożyczek pieniężnych, na zasadzie lichwiarskich kontraktów z farmerami. W gospodarstwie wiejskim odbywa się ten sam proces podboju przez monopol w dziedzinie obrotów i produkcji. Zrzeszenia monopolistyczne ograbiają dosłownie farmerów.

Istnieje ogromna różnica między cenami, które płać monopolie za przetwarzanie produktów i w handlu towarami rolniczymi farmerom i detalicznymi cenami, za które monopolie sprzedają produkty konsumentowi. Podczas gdy setki tysięcy drobnych farm w czasie kryzysu ekonomicznego zostało zrujnowanych wyżej wspomniane zrzeszenie „National Dairy Product Corporation” uzyskało przeciętnie 13 proc. zysku od swoich wkładów kapitału. Z każdego dolara, którym płać za mleko konsument, farmerzy otrzymywali 35, a zrzeszenie 65 centów. A oto inny przykład: za skrzynkę z 24 bańkami konserwowanych brzoskwiń konsument płacił 4.08 dolara, wtedy kiedy ogrodnicy za 45—50 funtów świeżych brzoskwiń ułożonych w tych bańkach otrzymywali 20 centów, czyli ok. 5 proc. ceny detalicznej brzoskwiń konserwowanych.

Hipokrycy burżuazyjni przekonują, jakoby Zrzeszenie Amerykańskich Farmerów było powołane do obrony interesów drobnych i średnich farmerów. Ta organizacja znajduje się jednak w rękach kierowników monopolu kapitalistycznego. Na czele każdego oddziału Zrzeszenia stoją asy kapitału finansowego lub ich przedstawiciele. Kolosalna armia zrujnowanych farmerów, na wpół głodnych, oberwanych, zwanych „włóczęgami”, „czarnymi drożdżami” itp. z jednej strony, wielkie monopolistyczne organizacje i farmy kapitalistyczne chłonące ogromne zys-

ki z drugiej strony — oto dwa bieguny nędzy i bogactwa, rozwijające mit o „trwałości” pozycji gospodarczej drobnych i średnich farmerów. „Powstaje paradoksalna sytuacja” — pisze Mc Williams — „ziemia jest bogata, ale naród biedny” (str. 287). Szczególnie ciężkie jest położenie robotników rolnych w USA, których liczbę oblicza się na trzy miliony ludzi. Na nich nie rozciąga się nawet to ograniczone prawodawstwo, które istnieje w USA. Trwanie dnia roboczego nie jest regulowane przez prawo. Mimo represji i niebezpieczeństwa robotnicy rolni wzmaga swoją walkę z przedsiębiorcami. Np. w maju 1946 roku w stanie Pensylwania na wielkiej farmie o powierzchni 3.000 akrów 250 robotników rolnych i robotnicy fabryki konserw ogłosili strajk protestując przeciwko niskim zarobkom i przeciwko strasznym anty-sanitarnym warunkom. Bandyci z Ku-Klux Klanu grozili strajkującym, że się z nimi rozprawia. W celu złamania prawa federalnego do Pensylwanii sprowadzono z innych stanów zbrojnych łamistrajków. Mimo terroru strajkujący utrzymali się przez 6 tygodni. Ekonomisci burżuazyjni na podstawie wygody dla nich „przeciętnych” świadków, ukrywających rzeczywistą sytuację, roznudali w czasie drugiej wojny światowej swoje rozprawki o „rozkwicie” drobnych i średnich farmerów. W rzeczywistości wojna nie tylko nie powstrzymała koncentracji przemysłu rolnego i rugowania „farm rodzinnych”, a odwrotnie przynagliła ten proces. Rejestry rolne przeprowadzone w USA pokazały, że ogólna liczba farmerów w ciągu dziesięciu lat 1935—1945 zmniejszyła się do 1 miliona. Od roku 1940—1945 liczba farm posiadających ponad 1 tysiąc akrów wzrosła prawie 10 tysięcy razy i osiągnęła 110 tysięcy. Z drugiej strony liczba farm posiadających mniej niż 180 akrów skurczyła się do 250 tysięcy. Wielkie farmy (od 175 akrów i więcej) wynoszące wg. spisów z 1945 roku 21,4 proc. wszystkich farm, rozporządzają 74,4 proc. całej uprawianej powierzchni.

Lee Fryer w książce „The American Farmer” (New York — 1947) pisze, że „cztery miliony rodzin farmerów ma przeciętnie już tylko 40 akrów ziemi uprawnej. W 1950 roku ich działki jeszcze się zmniejszą. Powierzchnia ich pół wciąż się kurczy z powodu wzrostu wielkich farm”. Co się tyczy wzrostu dochodów finansowych farmerów w czasie drugiej wojny światowej, o których trąbią obrońcy kapitalizmu amerykańskiego, to należy mieć na uwadze, że siła nabywcza dolara amerykańskiego w czasie wojny na skutek inflacji znalazła wg. oficjalnych danych o 70 proc. Odpowiednie do tego problemu także koszty utrzymania przybrały inny wygląd.

Dalej należy pamiętać, że w związku ze wzrostem cen podniosła się opłata dzierżawna i ceny ziemi. Rejestr cen akra ziemi wzrósł od 1912 roku do 1914 na 100 z 83 przeciętnie, w latach 1935—1939 do 142 w 1946, tj. ponad 70 proc. W rezultacie znacznej podwyżki cen ziemi i podrożenia towarów przemysłowych zwiększyły się finansowe kłopoty farmerów.

O koncentracji przemysłu rolnego świadczą fakt, że wg. obliczeń ekonomistów amerykańskich 1/3 wszystkich farm produkuje 79 proc. ogólnej produkcji gospodarstwa rolnego, a na 2/3 farm przypada tylko 21 proc. W rzeczywistości poziom koncentracji jest jeszcze wyższy. Obliczono w USA, że ok. 60 proc. wszystkich farm otrzymuje tylko 10 proc. ogólnego dochodu farmerów. Na podwyżce cen w czasie wojny zarobił wieksi farmerzy kapitalistyczni i monopolie. Np. przeciętny roczny zysk monopolu żywnościowych, który wynosił w latach 1935—1939 435 milionów dolarów, wzrósł w latach 1941—1943 do 1382 milionów dolarów, tj. trzy razy. Wg. danych oficjalnych ok. 3/4 obligacji państwowych rozmieszczonych wśród farmerów skupiło się w rękach 10 proc. farmerów. Powojenny okres rozwoju amerykańskiego gospodarstwa rolnego pokazał, że proces pauperyzacji farmerów pracujących w USA wzrasta. Znaczna część amerykańskich farmerów nie ma możliwości zaopatrzenia się w maszyny rolnicze, traktory, ze względu na wysokie ceny ustanowione przez monopolie. Zasadniczą przyczyną podwyżki cen na maszyny rolnicze są ogromne zyski monopolistów. Tak np. koszty siły roboczej potrzebnej do przygotowania pluga trójleśmiesowego, za który farmerzy płać monopolistom 153,5 dolara, wynosi w całości 11,2 dolara. Koszty siły roboczej w produkcji separatorów wynoszą prawie 14,7 dol., a cena tej maszyny w sprzedaży wynosi ponad 100 dol. Wg. danych z 1945 roku tylko 32,2 proc. farm posiadało traktory i tylko 22,2 proc. farm miało auta ciężarowe. Tendencje do obniżenia cen produktów rolnych dające się ostatnio zauważyć niezwykle zaostrzają przeciwieństwa w amerykańskim gospodarstwie wiejskim. W USA obecnie mówi się już o nadprodukcji, o konieczności obniżenia produkcji. Tak np. Narodowe Zrzeszenie Przemysłowców i Izba Handlowa wysunęły wniosek o „usunięcie” z gospodarstwa wiejskiego 1,5—4 milionów gospodarstw. Truman nawet powiedział, że na rok 1949 przewidziane jest zmniejszenie zasiewów. Oczywiście żada to nowy cios drobnemu i średniemu farmerowi. „Jeśliby ceny na produkty żywnościowe ponownie spadły do poziomu z roku 1939, milionom rodzin farmerów grozi zupełna ruina, ponieważ farmy ich są małe i nierentowne” — pisze Lee Fryer we wspomnianej książce. Amerykańskiemu gospodarstwu rolnemu grozi nowy kryzys agrarny, brzemienisty w głębie następstwa.

Wiktor Woroszyński

CYTADELA*)

— Tobie by iść na Kaukaz,
na dzieła wesołe, zuchwałe,
carski oficerze, Dąbrowski!
— Już mi nie iść na Kaukaz,
mierzi niesłuszną walka,
dzieła nieprawe, krwawe,
wrogą ręką wybrane losy!

— Tobie by życie w karty przegrać,
przebiec, rozdać dzierlatkom pięknym,
panie szlachcicu, Dąbrowski!
— Życia mi w karty nie przegrać,
o takie życie nie dbam,
dziś mi inne rangi, inna szlachetność,
życie moje komu innemu rozdam.

...Były sonaty na szpince,
dworek, wysnuty z wyobraźni.
Dziś mi już nie o dworku marzyć,
gdzie dziad gasnący płomień niecił
w skórę oprawnym romantyzmem
starej dębowej biblioteki!
W tym dworku słowa, jak „ojczyzna”,
od lat dziesiątków krwią nie ciekły,
więc szły w ordynku — czyste, strojne,
niby w kazaniu, dźwięcząc obco.
Może dlatego było pojąć
trudno te słowa małym chłopcom
w latach czterdziestych, w Żytomierzu,
na wschodnim krańcu Europy,
tam, gdzie wokoło step bebrzeżny
i pola pańszczyźnianych chłopów.

Dzieciństwo. Monotonna pieśń
soldatów rosyjskiego cara.
Z mgły ulepiona twierdza Brześć.
Szkoła kadetów. Świt w koszarach.
Poranna trąbka, werble, musztra —
dzieciństwo się z młodością ściera.
I zastyl w petersburskich lustrach
blask szlif młodego oficera...

Tak. Życia pół się przehułało,
carom służyło się od dziecka,
aż nagle — dziwo! — Wielką Sprawą
ojczyzna wstaje — nie szlachecka,
ta, która siebie zdradzać uczy,
gładkich frazesów brzęcząc kieską,
ale ojczyzna prostych ludzi,
nieobecnym czynom, obcych gestom,
nie ta ojczyzna, co odpycha
synów najlepszych, którzy na nią
orzą, murują, płótno tkają
(ojczyźnie tej na imię pycha),
ale ta druga, jeszcze cicha
i zbyt pokorna, bo bezprawna,
lecz będzie głośna, będzie silna,
mądrością ludu nieomylna
(ojczyźnie tej na imię prawda),
i mnie ojczyzna nowa przyjmie,
wśród synów jej i moje imię.

— Dąbrowski! Zaliż śmiesz wybierać
jeszcze ojczyzny, losy, prawdy?!
Patrz: zęby krat wyszczerza śmierć —
tych murów dreszcz to także śmierć —
z tyrała swoją dobrze trafił!
To Cykada, Cykada —
jeśli stąd wyjdiesz, to szaleńcem,
półtrupem, ślepcem, suchotnikiem!
— Są dwie ojczyzny. Ja wybieram.
Ja wytrwam i odpędzę śmierć
i losów nie zamienię z nikim.

*) Z poematu pt. „Noc komunarda”, który niebawem ukaże się nakładem Biblioteki Światłocowej Domu Wojska Polskiego.

*) Bolszewik, Nr 5 (fragmenty).

Genowefa Szturchaniec

PRAKTYCZNA TEORIA

„Ile Kott narobił gaff...
Tyle szczęścia niech ma Staff...”

Minęły już dawno czasy, gdy profesorowie Bęcwalscy w braku poważniejszych argumentów natury teoretyczno-literackiej długo delectowali się rozmazywaniem żartów z zabawnych gaff rzeczowych w artykułach Kotta, licząc, że w ten sposób obalą tezy merytoryczne świetnego krytyka. Dziś polityki te należą do przeszłości. Poważny polemista, a nawet serdeczny przyjaciel po piórze, lapsusy Kotta traktować może tylko z rozbawieniem. Rangi literackiej i naukowej pierwszego rewidenta naszej historii literatury nie jest w stanie zakwestionować dziesięciu Wołodyjowskich skazanych na rozśmianie w pojedynku z Bohunem. Jeśli Minkiewicz przypomina te sprawy w życzeniach dla Staffa, to zapewne dlatego, że trudno byłoby znaleźć dowcipniejszy rym do egzotycznego nazwiska jubilata.

Rewelacyjne przejęcie publicystów, pomysły korektorów i redaktorów technicznych, połączone z kacikami samokrytyki w momencie otrzeźwienia, należą do żelaznego repertuaru każdego pisma. Przytoczona przez ph listę potknięć „Kuznicy” w ostatnich kilku numerach — spora, choć niekompletna — nie wywołała większego wrażenia.

Fala wesołości, jaka ogarnęła kilka tygodni temu Rzeczpospolitą z powodu zabawnej pomyłki red. Króla, który powołał się na komedię Niemcewicz p. t. „Odprawa posła”, utrzymywana była w granicach tych uczesanych, a nieszkodliwych sensacji, bez których „Camera obscura” nie mogłaby w ogóle prosperować, a literaci skwaśniełoby wśród młodziaków szacunku dla swych sąsiadów na Parnasie. Cała sprawa nie warta byłaby wzmianki, gdyby nie fakt, że została ona w 14 (212) N-rze zaprzysiężonego „Tygodnika Powszechnego” wznowiona w sposób, który nie pozostawia złudzeń co do politycznego sensu notatki p. t. „Teoria i praktyka”, podpisanej przez pana Jas.

„Więś” była od dawna solą w oku „Tygodnika Powszechnego”. Niemaskowany antyrykalizm pisma, jego sojusz z postępowymi żywiołami społecznymi w masach chłopskich, które wyemancypowały się z kręgu pojęć kultury parafialnej, sprawiły, że „Więś” jest dla pism konserwatywno-klerykalnych przeciwnikiem wysoce niepożądanym. Chłopi, stanowiący w swej masie przez długie lata ostatnią stawkę rodzinnego wstępcstwa, coraz wyraźniej wymykają się spod opieki wszelkich „dobrodziejów” duchownego autorytetu. W takiej sytuacji można istotnie popaść w furję i uczyć się kurczowo najważniejszych nawet szans unicestwienia jednej z sił wrogiego frontu ideologicznego.

Stąd śmieszne przejęcie staję się do wodom „płatania Niemcewicz z Kochanowskim” (podziwiamy zresztą insynuację), okazją do patetycznego rozdarcia szat nad losem chłopca, wydanego na łup „Wsi”.

„Praktyczna teoria” jasn brzmi: „jeżeli św. Tomasz i Luter są w jakimkolwiek względzie zgodni, to znaczy, że teza, którą obaj przyjmują zawiera niewątpliwą prawdę”. Sprzymierzonego Lutra dla swych tomiastycznych wywodów dostrzegł Jas w rozszerzonym krytyku „Kuznicy”. Cokolwiek jednak dałoby się powiedzieć o nieoczekiwanym froncie ideologicznym (jas, r. m. i „Camera obscura”), imputowanie wszystkim kombatanom politycznych celów, przyswajających filarów klerykalizmu, wydaje się operacją co najmniej nieumotywowaną. Sz. polemista zapominał, że, jak twierdził znane przysłówie, jeśli dwaj robią to samo, nie jest to jednak to samo, a dalej, że dziś już niemal powszechnie podaje się w wątpliwość różne „niewątpliwie prawdy”, wspólne Lutrowi i św. Tomaszowi. Dlatego nadzieja podstawienia nosi „Wsi” przy pomocy Zjednoczenia Teologów i flegmowej krucjaty przeciw pismu nie przyniesie oczekiwanych korzyści politycznych.

Małostkowe czeplanie się drobnostek w celu unieszkodliwienia niewygodnych tez jest chwytem starym i ogarnym. „Tygodnik Powszechny” z precyzją, świadcząca o skrzętności lektury naszego pisma, wychwytuje drobne potknięcia się redaktorskiego pióra i niemniej sumiennie unika merytorycznej dyskusji. O ile nie zostanie zaceplona teza ostatniego kazania niedzielnego, organ Kurii Xiążęco-Metropolitalnej z ostawionym taktem nabierze wody w usta w każdej konkretnej, żywej sprawie społecznej. Gdzie mówienie demaskuje — milczenie i milczkiem kasać w tydzień za głupstwo — to tradycyjna taktyka, stosowana przez „Tygodnik Powszechny” od początków jego istnienia.

Hasła aktywizacji społecznej prowincjonalnych pracowników kultury poprzez ich udział w ruchu masowym, hasła, które wyzwało do walki z monopolem Ciemnogrodu w sutanach, grasującą wciąż jeszcze po prowincji, przeciwstawiono kpinki z karkołomnej, niemniej zupełnie uprawnionej metafory „pejzaż końskiego uda”. A rozprawa z niechlujnym tradycjonalizmem w pedagogice szkoły średniej, z karygodnym macaniem w głowach młodzieży, ułatwiającym jej śpiączkę umysłową i bezbronność wobec klerykalnej agitacji — starano się zlikwidować rozmazywaniem drobnego przejęcie, jakie zdarza się nieuchronnie każdemu pisarzowi.

Wsteczniczo, przyduszone na któreś ze swych pozycji, nie może odkryć kart w otwartej polemice, a więc próbuje zamazać, zbagatelizować, wykipić, wykreślić...

Chwyt ten powtarzał się wielokrotnie zarówno w codziennych utarczkach publicznych, jak i w dyskusjach o wielkiej skali dziejowej, gdzie w grę wchodziły sprawy o doniosłości historycznej. Mutatis mutandis znany to zjawisko np. z dzieł polemiki, jaka rozpętała się wokół „Dwóch taktyk socjaldemokracji w rewolucji demokratycznej” Lenina. Mieszkiewicz z zapalem podchwycił okazję do kpinek z drobnej pomyłki Lenina, który tłumaczył Engelsa, wziął właściwe nazwisko Stefana Borna — Butter-

milch (maślanka) za rzeczownik pospolity, za złośliwy epitet pod adresem organizatora „Braterstwa Robotniczego”. „Kolcow napisał, że ja „pogłębiłem Engelsa” (przedrukowane w wydawnictwie „Za dwa goda”). Plechanow teraz znów przypomniał ten błąd w piśmie „Towariszcz” — słowem, znalazła się wspólna okazja, by zatuszować kwestię dwóch tendencji w ruchu robotniczym 48 r. w Niemczech, tendencji Borna (pokrewnej naszym ekonomistom) i tendencji marksistowskiej — pisał Lenin w notatce do wydania z r. 1908.

Metoda unikania dyskusji merytorycznej na rzecz rozmazywania błędów w tłumaczeniu i zwykłych przejęciach jest wypróbowaną metodą dyskantów, którym brakuje już argumentów.

Spróbujmy sparafrazować ton polenaczny „Tygodnika Powszechnego”. Cała sprawa prosi się o epitet: „rażące, aroganckie, kasać milczkiem kręactwo polityczne” — według najlepszych historycznych wzorów od św. Tomasza do Lutra.

Piotr Pigwa

Dotrzymają kroku

List otwarty 1.200.000 junacek i junaków powszechnej organizacji „Służba Polsce” do Prezydenta Rzeczypospolitej Bolesława Bieruta jest niewątpliwie ważnym wydarzeniem na odcinku młodzieżowym.

Młodzież „SP” pisze m. in.: „Dotrzymamy kroku naszym rodzicom, braciom i siostram, którzy z dnia na dzień wydobywają więcej węgla i rudy, zasiewają więcej ziemi, budują więcej domów, fabryk, mostów i dróg, produkują coraz więcej towarów...”

Oznacza to, że ponad milion młodzieży podejmuje szereg zadań produkcyjnych w swoim zakresie. Jest tych zadań niemało.

Przed wszystkim trzeba się uczyć. „Uczyć się — mówił min. Skrzyszewski do SP-owców — by zdobywać prawdziwą wiedzę o świecie i Polsce, uczyć się, by rozszerzać pojęcie stosunków społecznych i gospodarczych, pogłębiać znajomość praw rządzących światem, praw materii i stałego postępu”.

Młodzież zrzeszoną w Służbie Polsce wychowuje już nowy ustrój, przesuwa się z dnia na dzień, z godziny na godzinę w stronę socjalizmu. Ale socjalizm nie można zbudować bez odrodzenia przemysłu i rolnictwa, bez oparcia przemysłu i rolnictwa o socjalistyczną naukę. Na poprzednich pokoleniach postępowa młodzież spoczywał główny ciężar walki z ustrojem burżuazyjnym. Na dzisiejsze spada obowiązek budowy fundamentów pod socjalistyczną Polskę.

W ciągu bieżącego roku zobowiązali się SP-owcy wykonać na odcinku wiejskim takie prace jak: wybudowanie i uregulowanie 603 km kanałów odwadniających, oczyszczenie i wykopanie 1.843 km rowów melioracyjnych. Podnieśli to znacznie wydajność ziemi. Równocześnie SP weźmie masowy udział w akcji „H” i zakładaniu związków branżowych. „Zbudujemy i naprawimy 3.101

km dróg dla stworzenia lepszych warunków wymiany między miastem i wsią. Zalesimy około 30.000 ha ziemi. Przyczynimy się do uogólnienia kultury, popularyzując książki i gazety oraz zwalczając analfabetyzm. Zorganizujemy 1.361 kursów dla analfabetów, wybudujemy i wyremontujemy 1.603 świetlice, domów ludowych i szkół. Doprowadzimy do wsi 787 km linii radiotelegraficznych i 392 km linii elektrycznych”.

Wszystko to są zadania związane nie tylko z odradzaniem się gospodarczego i kulturalnego życia wsi, ale także z jego reorganizacją, przesuwaniem na nowy etap rozwoju.

Każda świetlica, ośrodek maszynowy obsługiwany przez młodzież Służby Polsce, związki branżowy — przekształca w jakimś stopniu stosunki w produkcji na odcinku rolnictwa, zbliża wieś do socjalistycznych form gospodarki.

Lenin mówił, że socjalizm jest to elektryfikacja plus władza radziecka. List młodzieży SP zawiera zobowiązanie do intensywnych prac nad wprowadzeniem elektryczności na wieś. Ale wprowadzenie prądu elektrycznego oznacza równocześnie zmianę bazy technicznej w produkcji rolnej, która będzie opierać się nie na pierwszym, ale na ostatnim słowie nauki, na jej najświeższych osiągnięciach. Sens nauki, jaką osiąga junak SP leży więc nie tylko w tym, że jest ona bezpośrednio związana z praktyką, z konkretnymi pracami społecznymi, ale i w tym, że da się ona użyć po linii interesów drobno- i średniorolnych chłopów. Nauka przekształca stosunki w produkcji i przekształca równocześnie nadbudowę ideologiczną.

Dlatego można i trzeba uważać ponad milion młodzieży SP za najbliższe, bezpośrednie zaplecze nowej, ludowej inteligencji technicznej — wytwórczej, o którą tak bardzo nam dziś chodzi.

Krzysztof Martyniński

Sojusz robotniczo-chłopski w Austrii*)

Weg und Ziel — organ KC Komunistycznej Partii Austrii pisze w numerze październikowym (z 48 r.): „Nie będzie przesady, jeśli stwierdzimy, że stoimy w przededniu poważnych walk klasowych w Austrii... kapitał prowadzi dziś u porczyw, kierowaną centralnie przez czynniki austriackie, walkę klasową przeciwko klasie robotniczej... Walka klasowa robotników wymaga planowej i organizacyjnej siły kierowniczej. Siłą tą jest partia komunistyczna”.

W numerze 3, marcowym (z 49 r.), to samo pismo poświęca wiele uwagi walce klasowej małorolnych chłopów i robotników leśnych w Austrii. Stawia tę sprawę artykuł Laurenza Gennera — „Der Kampf der Landarbeit”.

W Austrii nie została dotychczas przeprowadzona reforma rolna. Przed wojną posiadała Austria 1.652.800 ha ziemi uprawnej. Według dzisiejszych danych statystycznych jest w Austrii 200.000 gospodarstw od 1 do 5 ha, 76.000 od 5 do 10 ha.

200 tysięcy małorolnych i 76 tysięcy średniorolnych rodzin chłopskich w Austrii nie może żyć z własnego gospodarstwa. Chłopi ci odczuwają w ciągu całego roku gorzkie przednocię, brak żywności, brak ziarna siewnego, brak nawozów sztucznych, maszyn. Jedyna droga awansu społecznego, to praca robotnika leśnego lub służba w obszarach lub wiejskich bogaczy. Na tej drodze można zostać nadzorcą lub przy sprzyjających okolicznościach urzędnikiem administracyjnym. Można też trafić do przemysłu, fabryki. Lecz nigdy wyżej ponad zwykłego robotnika.

Lecz i na ws, na skutek bezrobocia i rosnącej proletaryzacji, napotyka małorolny chłop na konkurencję bezrolnych najemników. Dane statystyczne z 1947 r. wykazują 400.000 najemnych robotników rolnych, zatrudnionych w rolnictwie, co stanowi 25 proc. liczby zatrudnionych w ogóle. W tej liczbie 45 proc. kobiet i 15 proc. młodzieży. Z tej ogólnej liczby 400.000 na majątki ziemskie przypada około 80.000 robotników rolnych i leśnych, około 60.000 to robotnicy sezonowi,

*) Laurenz Genner — Der Kampf der Landarbeit, „Weg und Ziel” Nr 3.

pracujący połowę roku lub krócej, w zależności od zapotrzebowania pracodawcy.

Na ws austriackiej panuje srogi ucisk klasowy. Więś jest całkowicie opanowana przez bogaczy wiejskich i właścicieli ziemskich. Bogacze opowiadali samorząd, gminę, izby rolnicze, urzędy, instytucje. W sejmach krajowych i w Wiedniu wieś jest reprezentowana przez przedstawicieli bogatej wsi. Ale ani partia kapitalistów wiejskich (Volkspartei), ani socjaliści nie dbają w sejmie o sprawy biednej wsi, tym bardziej o sprawy bezrolnych, robotników rolnych i leśnych. Złudne były nadzieje, jakie wzięli biedni chłopci austriaccy w 1918 i 1919 roku z reformami społecznymi socjalistów. Żadnych radykalnych reform społecznych i ustrojowych, które by zmieniły los chłopca, socjaliści nie przeprowadzili. Także w późniejszym okresie, za czasów II Republiki socjaliści nie troszczyli się o równouprawnienie robotników rolnych i leśnych.

Na przykładzie austriackim sprawdzają się słowa Stalina o obojętności, a nieraz wręcz negatywnym stosunku partii II Międzynarodówki do sprawy chłopskiej, do sprawy sojuszników proletariatu. Ten negatywny stosunek — stwierdza Stalin w „Kwestii chłopskiej” — tłumaczy się nie tylko odrębnymi warunkami rozwoju na Zachodzie. Tłumaczy się przede wszystkim tym, że partie te nie wierzą w dyktaturę proletariatu, obawiają się rewolucji i nie mają zamiaru prowadzić proletariatu do władzy; a kto obawia się rewolucji, kto nie chce prowadzić proletariatu do władzy, ten nie może się interesować sprawą sojuszników proletariatu w rewolucji — dla niego sprawa sojuszników jest kwestią obojętną, nieaktualną. („Zagadnienia leninizmu” str. 40).

Jaki jest wynik długoletniej opieki prawnej Volkspartei i socjalistów nad biedną wsią austriacką i robotnikami rolnymi?

Brak przepisów prawnych regulujących sprawy chłopów pracujących, przepisów urlopowych, odszkodowań za zwolnienie z pracy, przepisów mieszkaniowych (w Styrii „ustawa” nakazuje pracodawcy wyznaczyć robotnikowi mieszkanie w stajni „dla dozoru bydła”. I rzeczywiście robotnicy mieszkają

po stajniach albo w komorach przystajennych, a właściciel ziemi korzysta w ten sposób podwójnie: nie daje robotnikowi należnego mieszkania i przedłuża dzień jego pracy do późna w nocy), brak jednolitego cenika za pracę, uposzczenie pod tym względem kobiet i młodocianych, sprzeciw bogaczy wiejskich przeciwko projektom utworzenia jednolitych Iz Robotniczych regulujących interesy robotników rolnych i przemysłowych (tworzone są natomiast osobne Izby Robotników Rolnych, w których do dziś pokutują hitlerowskie przepisy prawne, ograniczające prawa robotników na rzecz pracodawcy). Od 1946 r. np. datuje się akcja pomocy tych Izb na odbudowę domów robotniczych. (W praktyce jednak z pomocą tej korzystają wyłącznie bogacie wiejsze) — oto zarys granic wolności, w jakich żyje i pracuje robotnik rolny i leśny w Austrii. Nawet nowa ustawa z 1948 r., jakkolwiek reguluje już ogólnie stosunek pracodawcy do robotnika, w niektórych punktach zawiera przepisy pogarszające dotychczasowe położenie robotników. Pogarszają sytuację przepisy o odszkodowaniu za zwolnienie, broniące wyraźnie pracodawcę, pogarsza sytuację robotnika przepis o opuszczeniu w przeciągu trzech miesięcy mieszkania służbowego w wypadku zwolnienia z pracy. Wniosek komunistycznych posłów w sprawie przedłużenia tego terminu aż do czasu znalezienia zastępczego mieszkania został odrzucony przez koalicję VP i SP.

Sejm tyrolski może tutaj świecić złym przykładem. Dotychczas w Tyrolu nie usunięto przepisu o „służbowych” mieszkaniach dla robotników rolnych w stajniach. Nie wydano przepisów, określających przyczyny zwolnienia pracownika przez pracodawcę. Nie ma wyznaczonego dnia roboczego (godzin pracy), brak jakiegokolwiek przepisów normujących opiekę prawną nad chorymi robotnikami i ofiarami faszystowskiego reżimu.

Stroną wyzyskiwaną na ws austriackiej są więc chłopci małego i średniorolni, są bezrolni robotnicy. Małorolni i robotnicy rolni stali się proletariatem wiejskim. Ten proletariatus wiejski jest naturalnym sprzymierzeńcem klasy robotniczej w walce o całkowite wyzwolenie człowieka pracy.

Cud planu Marshalla

Dyrektor amerykańskiego Urzędu Pomocy dla zagranicy P. Hoffmann oświadczył niedawno, że osiągnięcia europejskie w wyniku pomocy marshallowskiej graniczą prawie z cudem.

Na czymże ten cud polega? Przyjrzyjmy się niektórym krajom dotkniętym pomocą amerykańską. Belgia: liczba bezrobotnych w styczniu 48 r. wynosiła — 59.000, w sierpniu tegoż roku — 76.000, w styczniu 1949 — 269.000. A przed rozpoczęciem pomocy marshallowskiej — 26.000. Włochy: styczeń 1947 r. — 2.228.000 bezrobotnych, lipiec 1948 r. — 2.283.000, styczeń 1949 r. — 3.000.000 bezrobotnych i 5.000.000 robotników sezonowych Niemcy zachodnie: luty 1949 r. — 1.019.000 bezrobotnych.



Rzeczywiście — cud. Tak bowiem wielkie go bezrobocie nie pamięta od dawna Europa. Oczywiście podobny cud wyrażający się rekordową liczbą bezrobotnych nastąpił i w kraju cudotwórców — w Stanach Zjednoczonych. Urząd statystyczny ogłosił, że w lutym br. w USA — 3.200.000 ludzi pozostawało bez pracy, to znaczy, że przez miesiąc przybyło 550.000 bezrobotnych. Tak wielkie cyfry wymieniano w czasie światowego wyzysku z lat międzywojennych.

Tymczasem w Związku Radzieckim i krajach demokracji ludowej sytuacja przedstawia się akurat przeciwnie. Państwo Radzieckie zwiększyło w pierwszym kwartale 1948 roku o milion ilość robotników pracujących w przemyśle, w ciągu całego ub. roku o 2.400.000 w stosunku do roku 1947. W Polsce liczba robotników wzrosła z 1.260.000 (1947) na 1.462.000 (1949), na Węgrzech z 781.000 (1946) na 931.000 (1947).

Dwa światy — dwie drogi. Jedna cudowna — wiedzie do wzrastającego bezrobocia, do nędzy, druga — pozwala na zatrudnienie coraz to większej liczby robotników. Jedna prowadzi do katastrofy, druga — do socjalizmu.

P. P.

Co kraj to obyczaj

W Stanach Zjednoczonych ukazała się ostatnio książka Williama Vogta „Droga do ratunku”. Wstęp do niej napisał rzecznik polityki atomowej — Baruch, polecając dzieło gorąco amerykańskiemu czytelnikowi oraz uważając mężów stanu całego świata. Książka bardzo widać leży na sercu przemysłowcom i bankierom z Wall-Street, odpowiada doskonale ich „zamówieniu”. Jaką groźbę odsłania autor? Nawracając do przestarzałych poglądów Malthusa, obalonych już przez postępowych badaczy, Vogt w sposób rzekomo naukowy pokazuje, że ludzkość grozi klęską głodu z powodu zmniejszającej się wydajności ziemi, z powodu „ograniczonego potencjału biologicznego” określonych terytoriów. Wyciąga stąd wnioski natury politycznej. „Ludzkosc — mówi autor — znajduje się w ciężkiej sytuacji. Powinniśmy zrozumieć to i przestać narzekać na systemy gospodarcze”. A jakie autor widzi drogi wyjścia? Martwi go zwłaszcza to, że zwiększa się liczba ludności Europy, uważa więc, że tę liczbę należy koniecznie zmniejszyć przy pomocy wszelkich środków włącznie z oddziaływaniem ekonomicznym, uważa, że złą przysługę oddaje się ludzkości, gdy się walczy z chorobami, gdy stara jej się zapewnić jak najlepszy stan sanitarny. Z niedomówionych wniosków, które czytelnik winien odczytać między wierszami, to również ten, że wojna to też droga ratunku, jako czynnik regulujący nadwyżki ludności. Taką tylko drogę ratunku widzi kapitalizm, podczas gdy w Związku Radzieckim pracują skutecznie dziesiątki instytutów badawczo-naukowych nad tym, by ziemia zwiększała swe plony, pracują setki uczonych nad tym, by obronić człowieka przed chorobą, głodem i przedwczesną śmiercią.

M. K.

Bibliotekarstwo w służbie społecznej

Do Redakcji „Wsi”

Uniwersytet Łódzki urządził w ramach „Tygodnia Oświaty, Książki i Prasy” wystawę pn. „Bibliotekarstwo w służbie społecznej”. Nie daję recenzji z samej wystawy (choć jest pomyślana ciekawie i informuje widza dokładnie o naszym rynku książkowym, jak również o Bibliotece). Chcę natomiast przy tej okazji zwrócić uwagę na konieczność rozszerzenia akcji wystaw książkowych na najdalszą prowincję.

Wystawy książki i prasy powinny być urządzane często (niezależnie nawet od „Tygodnia Oświaty” — który przecież jest tylko hasłem mobilizującym do planowego działania kulturalno-oświatowego). Mogłyby to być wystawy organizowane na miejscu (gmina, szkoła, spółdzielnia, ZMP, partia), ew. wystawy objazdowe poszczególnych firm wydawniczych („Czytelnik”, „Książka i wiedza”). W akcji organizacyjnej (zwłaszcza w czasie miesięcy letnich, feryjnych) można by wykorzystać młodzież ZAMP, ZMP i SP.

Wystawy książki i prasy nie powinny ominąć żadnej gminy wiejskiej, żadnego miasteczka. Akcja masowych wystaw przyczyniłaby się do spopularyzowania książki i prasy, zdobyłaby wielu nowych czytelników i prenumeratorów książek KUK, Klubu

FAKTY i ZDANIA

Dobrej Książki, Klubu „Odrodzenia”, Biblioteki w prenumeracie”.

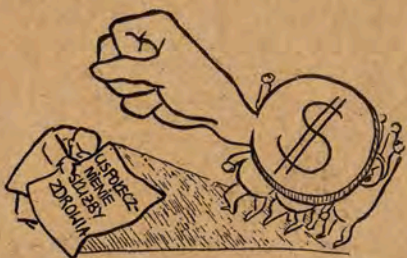
Czy nie warto pomyśleć nad zorganizowaniem planowej akcji wystaw książki i prasy? Co na to nasze Spółdzielnie wydawniczo-oświatowe?

R. G.
Student U. Ł.

Znasz-li ten kraj?

Stany Zjednoczone to bardzo dziwny kraj. Kraj paradoksoś kapitalistycznych. Amerykanie chwalać się chętnie przed całym światem, że co czwarty obywatel USA posiada własny samochód, a co drugi radiodbiornik. Ale niechętnie wspominają o tym, że co drugi mieszkaniec tego „szczęśliwego” kraju jest pozbawiony opieki lekarskiej. Ściśle mówiąc, chodzi tu o 70.000.000 ludzi, którzy nie mogą sobie pozwolić na leczenie. Warto to przypomnieć, że przeciętna, nieskomplikowana operacja, kosztuje 200 dolarów u prywatnego lekarza. Innych w USA nie ma.

Ostatnio zwrócił na ten fakt uwagę Ewing w broszurze pt. „Stan zdrowia narodu” (The Nations Health). Ewing proponuje uspołecznienie pracy lekarzy amerykańskich, co może uratować około 300.000 istnień ludzkich rocznie. W odpowiedzi na tę propozycję postanowił związek lekarzy USA opodatkować 180.000 swoich członków w wysokości 25 dolarów rocznie. Na akcję uruchomienia społecznej służby zdrowia? Nie — na... zwalczanie wszelkich projektów i prób uspołecznienia pracy lekarzy.



Wielu spośród 70 m. Amerykan pozbawionych w dalszym ciągu społecznej opieki lekarskiej oddało swe głosy na Trumana, który w czasie kampanii wyborczej zapowiadał, iż dopilnuje sprawy organizacji służby zdrowia. Ale Truman ma krótką pamięć, podobnie jak jego rząd, który przecież zapowiedział demontaż niemieckiego przemysłu wojennego.

W. J.

Co się zmieniło w mojej wsi?

Ob. Redaktorze!

W odpowiedzi na Waszą propozycję napisaną do Faktów i Zdania o zmianach zachodzących w mojej wsi, chcę podkreślić jeden szczególnie ważny moment. Przeciwny turysta nie widzi na pierwszy rzut oka głębszych zmian na wsi. Po staremu — domy, po staremu — orka i siew, po staremu — gospodarka. W dalszym ciągu zależność biednego od bogatego — chociaż dzisiaj już inaczej te sprawy zaczyna się rozwiązywać.



Właściwe rozwiązanie stosunku biednych chłopów do bogatych, to postawienie walki klasowej na wsi. I to jest najważniejsza według mnie zmiana. U nas zaczęła się ta historia dopiero w ostatnich miesiącach 48 roku, od czasu wyborów do zarządów ZSCh. Jeszcze na wiosnę ub. roku zasiadali w zarządzie, według tradycji, „kułacy”, gospodarze powyżej 10 ha. Ostatnie wybory zmieniły skład społeczny zarządu gminnego. W wyborach zwyciężyła biedna i średnia wieś.

Owoce tego zwycięstwa nie każą długo na siebie czekać. W tych dniach została utworzona przy Zarządzie gminnym ZSCh Gmina na Rada Kobiece. W skład weszły kobiety drobno- i średniorolne. W innym składzie Zarządu ZSCh nie byłoby możliwe zwycięstwo kobiet, które do niedawna były odsunięte od jakiegokolwiek działalności społecznej i politycznej na wsi. Rada Kobiela powziela już uchwały dotyczące organizacji przedszkoli i żłobków podczas miesięcy zimowych na wsi. Jeszcze w ubiegłym roku istniejące wtedy Koło Gospodyń Wiejskich przejęło przedszkole organizowane przez „Caritas”. Ale wtedy w kole zasiadały „gospodynie” powyżej 10 i 15 ha. Obecnie Gmina Rada Kobiela — jakkolwiek nie potępiła działalności „Caritasu”, to jednak uznała formę „pomocy” i „miłosierdzia” u-

dzielaną przez zamożniejszych biedniejszym za wstępną i niezgodną z nowoczesną organizacją życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego w Polsce Ludowej. Nie przez dorywcze zastrzyki „miłosierdzia”, które w ustroju kapitalistycznym spełniały funkcję zastępstwa, przesłaniających konflikty klasowe, a przez planową organizację życia społecznego, kulturalnego i gospodarczego podnieście się polska wieś na wyższy poziom. Czy nie byłoby wskazane, aby Redakcja „Wsi” poświęciła w każdym numerze osobny kącik listom z terenu omawiającym zmiany zachodzące obecnie na wsi?

H. P.
nauczycielka z pow. stopnickiego

Amerykańskie metody przeciw wyzyskowi

W ostatnich dniach marca ukazały się w prasie amerykańskiej wiadomości o zmniejszeniu produkcji przemysłu stalowego. Liczne trusty stalowe zamknęły częściowo swe przedsiębiorstwa. Republic Steel zgasił dwa piece elektryczne w Canton i Ohio; Allegheny Ludlum trzy piece; Crucible Steel — trzy itd. itd. W konsekwencji obniżenia produkcji wzrasta bezrobocie. Już nawet ekonomiczni amerykańscy, którzy twierdzili dotąd, że bezrobocie jest w dzisiejszej Ameryce niemożliwe — przyznają, że ich horoskopy spaliły na panewce. Nie pierwszy i nie ostatni raz przepowiednie polityków i działaczy amerykańskich stają w konflikcie z rzeczywistością.

Ale politycy i właściciele trustów, którzy tysiące robotników wyrzucają na bruk, nie chcą uważać żądań robotniczych. Ba, strajki robotnicze likwidują w sposób brutalny i bezlitosny.

Charakterystyczną wiadomością przynosi amerykańsko-polski „Głos Ludowy” z 16 kwietnia br. „We wszystkich strajkach, w których brały udział kobiety, policjanci nie zwracali uwagi na płeć, lecz bili bez miłosierdzia każdego strajkującego, — mężczyznę lub kobietę... W Ameryce od lat istnieje prawo, że mężczyzna za uderzenie kobiety jest karany więzieniem... Ale policjantowi wolno bić kobiety znajdujące się na linii picketowej...”



W konsekwencji, — obniżenie produkcji, bezrobocie i bicie strajkujących kobiet. Rzeczywiście „przyjemny” obraz demokracji amerykańskiej.

R. M.

Nie czyń drugiemu

Jestem byłym żołnierzem emigracyjnym. Przeszedłem wojnę we Francji w 1940 roku. Bilem się tam zawsze w ramach zwycięskiej ofensywy aliantów na Niemcy. Przywożłem z zachodu kilka orderów i wiele goryczy dla wodzów politycznych emigracji. Wzianam za lata trudu i walki zaproponowano mi pracę przy hodowli owiec w Australii. Chciałem wrócić do kraju. Ale i to nie było łatwe. Emigracyjni przywódcy klóścili się o każdego człowieka, każda grupa, „stronnictwo” chce mieć jak najwięcej członków, ale zgodnie szanują tych wszystkich, którzy zgłosili chęć powrotu do Polski. Dziś członkowie „rządu” londyńskiego, operetkowi wodzowie partii bez członków, są zwykłymi służącymi anglo-amerykańskiego kapitału, zdrającami po prostu, prowadzącymi brudną robotę przeciw naszemu krajowi, który tak wspaniale odbudowuje się ze zniszczeń. Tych właśnie renegatów pobłogosławił ks. arcybiskup Wyszyński. W chwili kiedy rząd Rzeczypospolitej proponował godziwe porozumienie z Kościołem, jego wybitny przedstawiciel ogłosił list nie do naszego rządu, ale do zdrajców ojczyzny z nadzieją, że godnie spełnią swoje posłannictwo na emigracji”. To posłannictwo znaczy organizowanie sieci dywersyjnej w krajach demokracji ludowej, za amerykańskie pieniądze, oznacza mordy polityczne na naszych działaczach. Czy takie jest oficjalne stanowisko Kościoła wobec propozycji porozumienia, wysuniętych przez nasz rząd? Czy w ten sposób ma być realizowana chrześcijańska zasada miłości bliźniego?

Myszę, że trzeba przypomnieć ks. arcybiskupowi inną, nie mniej ważną zasadę chrześcijańską: nie czyń drugiemu, co tobie nie miło.

Jan Szymek

Łódź, 6.5. 1949.

Przyjaciele Ameryki

9 kwietnia otwarto w Nowym Jorku międzynarodową wystawę handlową. Biorą w niej udział liczne firmy różnych krajów. Między innymi... niemieckie. Bierze w niej udział Agfa Camerawerk Ultramarinfabrik, należący do słynnego koncernu I. G. Farbenindustrie, który stanowił podstawę przemysłu chemicznego Niemiec hitlerowskich. Bierze dalej udział niemieckie przedsiębiorstwo odzieżowe Lodenfrey Co, które zaopatrywało armię hitlerowską w mundury. Bierze jeszcze udział Lanza Automobilewerke, której właściciel, Carl Lanz, finansował Hitlera, przed dojściem do władzy, Henkell Compagnie, własność Ribentropa, wielki kartel amunicyjny Lemen — Halske itd., itd.

Rząd i monopolistyczni amerykańscy lubią odanych przyjaciół. Na wiele im pozwalają. Za wiele. Mówi jednak przysłowie „Poznaj człowieka po przyjaciółach jego”. Słuszne przysłowie.

M. S.

To będzie ich trzecie zwycięstwo

Szanowny Kolego Redaktorze!

Franciszek Semczuk jest pełnomocnikiem wsi samopomocowej i prezesem Gminnego Zarządu Zw. Sam. Chłopskiej w Krynicy. Wieś ta leży na trasie Zamość—Tomaszów. Jest ona stosunkowo duża, gęsto zabudowana. Ciągnie się na przestrzeni 2 km. Środkiem wsi biegnie gładka szosa wiodąca do Tomaszowa. Wzdłuż drogi ciągnie się nowo-wybudowana linia wysokiego napięcia. We wsi linia rozgałęzia się we wszystkie strony, zapalając w izbach złote żarówki.

— To nasze drugie zwycięstwo za demokracji ludowej — mówi Semczuk. — Pierwsze zwycięstwo — to reforma rolna w 1944 r.

Krynica ma swoją historię. Doniosłe wydarzenia ostatnich 5 lat nastąpiły we wsi szybko jedno po drugim: reforma rolna, elektryfikacja wsi, niedługo zaś zostanie ona również radiofonizowana.

W ubiegłym, 1948 roku, Krynica została wypowinowana przez Główny Zarząd Samopomocy Chłopskiej na wieś samopomocową. Na ten cel Wydział Wsi Samopomocowych przydzielił dla Krynicy 6.605.000 zł. Wiadomość tę krynicyjanie przyjęli z wielkim zadowoleniem. Semczuka wybrano na pełnomocnika wsi samopomocowej.

— Z sumy tej — mówi Semczuk — 2.605.000 zł zużyjemy na uzupełnienie maszyn w ośrodku maszynowym. Będziemy posiadać, proszę was, traktor. Traktor, wiecie, niezbędny jest dla wsi. Dokupimy jeszcze siewników i żniwiarów, jednym słowem podciągniemy ośrodek do pierwszej klasy. 1.500.000 zł — wyjaśnia dalej Semczuk — pójdzie na odbudowę cegielni i pustaczarki. A skoro będziemy posiadali cegielnię, wybudujemy piekarnię i łaźnię. Jeden milion na ten cel przeznaczamy. Jeszcze będziemy budować dom ludowy. Bo ten, który mieliśmy, oddaliśmy na szkołę.

Rozpoczęto już pracę w kierunku hodowli drobiu, była rasy czerwonej i trzody chlewnej. Urządziliśmy też wylęgarnię przy Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

I oto kiedy wybudujemy wieś samopomocową, będzie to nasze trzecie zwycięstwo.

Jezierski Bogusław

Walka trwa

Szanowny Redaktorze!

Zbliża się, jak wiadomo, okres matur. W związku z tym codzienna prasa łódzka („Dziennik” i „Ekspres Ilustrowany”) opublikowała szereg artykułów, w których niezmienne powtarza się, że obecni abiturienti łódzkich szkół średnich „przystępują do egzaminu z uczuciem dumy i radości, iż będą mieli okazję do wykazania swej wiedzy i dojrzałości ideowo-politycznej”.

Przyznam się Redaktorowi, że niezmiernie mnie powyższe oświadczenie zbudowało.

Ale... gdy spytałem się przed tygodniem mojej siostrzenicy, abiturientki jednego z gimnazjów łódzkich, czy czytała numery „Odrodzenia” i „Kuźnicy”, poświęcone Kongresowi Pokoju (chciałem z nią porozmawiać o wierszu Louis Aragona „Słyszysz głos zabitych”) — dowiedziałem się, że „Pani nie mówiła, że trzeba czytać takie pisma i że nikt ich w klasie nie czytuje” — wyjątkiem jednej „dziwnej” koleżanki, która jest „poetką”. Nie mówi się też nic o takiej literaturze, brały jedynie „Popiół i diament” Andrzeja Leśmiana i Tetmajera.

Druga zaś „pani” z tej szkoły (też polonistka, tylko z młodszych klas) miała odpowiedzieć na pytanie jednej z uczennic co znaczy wyraz Viet-Nam, że nie zna niemieckiego. Ponieważ — tak się już jakoś składa — że stan „wiedzy i dojrzałości politycznej uczniów” zależy w bardzo dużej mierze od... nauczyciela, mam mocne wątpliwości, czy wszyscy abiturienti i ze wszystkich szkół naszego miasta mają powód do zadowolonej „dumy i radości”, a autorzy nieodpowiedzialnych artykułów do przesadnego i wysoce szkodliwego społecznie optymizmu. Nie można bowiem pisać, że walka o naszą młodzież jest już wygrana, kiedy walka ta trwa. Ogłaszanie zwycięstw mogłoby spowodować demobilizację naszych postępowych kadr nauczycielskich właśnie wtedy, kiedy je mobilizujemy.

Czytelnik z Julianowa

Redaktor naczelny - JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 80 — zł; kwartalnie 240 — zł; półrocznie 480 — zł; rocznie 960 — zł.

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2.

D—02210